

23, rue Taibout, PARIS 9^e

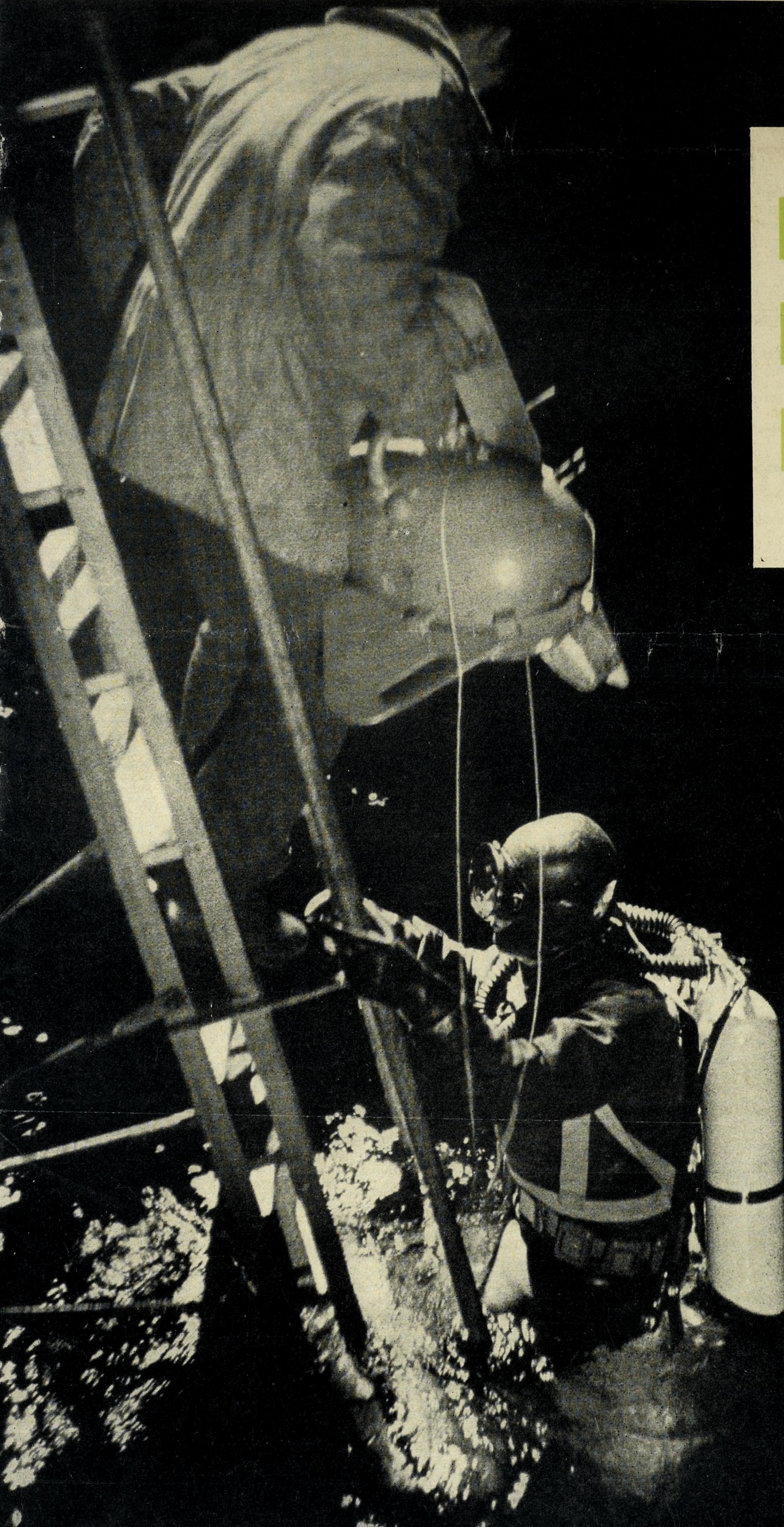
CENA 0,80 F.
PRIX 7 F. B.

2 luty 1969
février

Rok wydania XII Nr 5 (589)

Tygodnik Polski

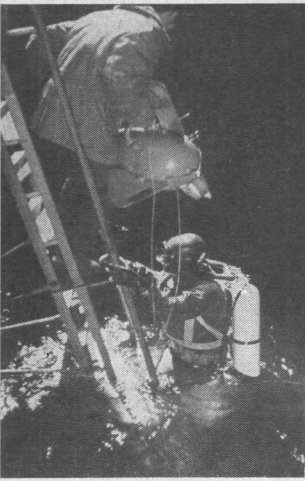
LA SEMAINE POLONAISE



PO SKARBY
NADNO
BAŁTYKU

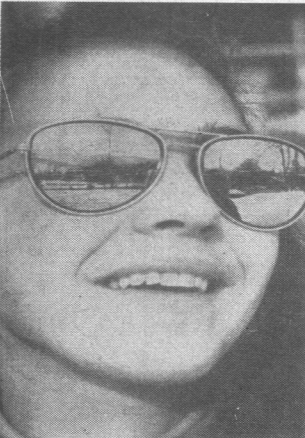
FOP 2373

NASZA OKŁADKA



Nie tylko „kaskader” czyli człowiek występujący w niebezpiecznych scenach filmowych — upadki z konia, katastrofy, przesiadanie się z samolotu na dach pociągu — ma trudny zawód. Bywa, że operator filmowy musi także występować w niezwykłych sytuacjach, na przykład w roli pietwonurka. To właśnie zdarzyło się operatorowi Filmu Polskiego podczas sensacyjnych zdjęć podwodnych na Bałtyku. A wszystko po to, aby w kronice filmowej mogło się ukazać sprawozdanie pod tytułem „Operacja Meduza II”. Nie możemy Czytelnikom dołączyć do numeru „Tygodnika” taśmy filmowej, ale za to zamieszczamy na stronie 12 i 13 obszerny foto-reportaż i artykuł o polskim „domku podwodnym”.

W NASTĘPNYM NUMERZE



Christine Hassine miała niezwykle koleje życia: urodzona w Paryżu z matki Polki i ojca Tunezyjczyka, ukończyła szkołę Batignolles, wraz z matką repatriantką przyjechała do Polski. Obecnie studiuje w Wyższej Szkole Ekonomicznej w Sopocie i wraz z grupą koleżanek i kolegów spędzała urlop w Szklarskiej Porębie. W tych wakacjach na śniegu brali zresztą udział i inni batignolczycy. Czytajcie w następnym numerze!

ZDJĘCIA
TYGODNIANIEOCZEKIWANY LOS
PIRACKICH
SAMOLOTÓW

Samolot wojskowy kosztuje miliony dolarów. Nad Demokratyczną Republiką Wietnamu stracili Amerykanie od początku swej agresji trzy tysiące kilkadziesiąt bombowców, myśliwców bombardujących i samolotów szpiegowskich. Setki piratów powietrznych zginęło lub dostało się do niewoli. A ich maszyny, za które amerykańscy podatnicy zapłacili miliardy? Stały się... surowcem dla Wietnamczyków. Z wraków zestrzelonych samolotów wyrabiają liczne spółdzielnie rzemieślnicze przedmioty codziennego użytku, a nawet — sztuki ludowej! Na przykład te widoczne na zdjęciu obok wazony do kwiatów wyrosłych na wolnej wietnamskiej ziemi. Ironia i sprawiedliwość losu...

UWAGA!

Na liczne żądania naszych Czytelników przedłużyliśmy do dnia 15 lutego 1969 termin nadsyłania odpowiedzi na nasz konkurs historyczny »50 pytań na 50-lecie niepodległości Polski« Odpowiedź prawidłowa na 5 dowolnie wybranych pytań uprawnia do udziału w losowaniu jednej z 50 nagród! Warunki konkursu w numerze 1 z 5 stycznia!

DLA WSZYSTKICH!

DLA WSZYSTKICH!

W TYM NUMERZE zainteresują wszystkich:

- Rewelacje sprzed 1939 roku dziś ujawnione s. 4
- Opowieść o piekle zwanym „DORA” s. 6
- Ciekawe Spotkanie Czytelników w Redakcji „Tygodnika” s. 8—9
- List Mariana Brandysa w sprawie Marii Walewskiej s. 14
- Ostatni flisak na polskich rzekach s. 23

A POZA TYM:

- dla kobiet: s. 19; dla ogrodników: s. 20; dla młodzieży: s. 18; dla muzyków i śpiewaków: s. 7, 18; dla sportowców: s. 17; dla wszystkich — cały numer!

A W NASTĘPNYM NUMERZE POLECAMY:

Dlaczego Rydz-Śmigły uciekł przed chłopami — Atak uczonych 6 państw na cuda techniki — Rozmowa z mózgiem elektronowym — Studenckie wczasy na śniegu — felietony, porady, humor, rozrywki umysłowe i wiele innych.

Z głosów prasy

OPINIA WYCHODZTWA

Bodaj po raz pierwszy polski handel zagraniczny omawiając swoje kontakty międzynarodowe powołał się w swym oficjalnym organie na opinię Polonii, znajdujemy to w artykule „Polska na Międzynarodowych Targach w Paryżu w 1968”, w ostanim zeszyście czasopisma „Handel Zagraniczny”.

„Według zgodnej i co najważniejsze — spontanicznie przekazywanej opinii zwiedzających — zarówno przypadkowych gości, jak kupców i dziennikarzy, przedstawicieli Dyrekcji Targów, Polaków mieszkających we Francji (podkreślenie red.), którzy śledzili corocznie nasze wystąpienia — stoisko polskie 1968 r. było utracone w „dziesiątkę”.

Wzmianka niewielka, niemniej jednak godna uwagi. Może jest to zapowiedź pewnych zmian czy nowych wiatrów w polskim handlu zagranicznym, który — jak dotąd — nie za bardzo interesował się opinią Polaków mieszkających za granicą lub obywateli obcych polskiego pochodzenia, albo też niewiele sobie z niej robił. Nie szukał też w ich szeregach dla siebie kontaktów i przedstawicieli, choć przecież wśród wychodźstwa polskiego jest bardzo wielu poważnych przemysłowców i handlowców. Swa solidność, jak i fachowością zdobyli oni uznanie obcych, ale niemal nie zauważali ich do niedawna wielkie krajowe centrale handlu zagranicznego. Daleko częściej firmy francuskie, belgijskie, brytyjskie czy inne posługują się Polakami mieszkającymi za granicą jako ekspertami niż centrale krajowe.

Nic też dziwnego, że w prasie emigracyjnej spotykamy o polskiej wytwórczości takie oto wykrzywione opinie, jak na przykład ostatnio: „Polska nie posiada żadnego sprawnego przemysłu, nie ma towaru eksportowego, nie posiada rynków zbytu...” (londyński „Dziennik Polski” z 31 XII). A to przecież wietrzny fałsz. Autor ostatni raz widział Polskę przed przeszło 30 laty, zachował w swej wyobraźni kraj zafowany technicznie, poza tym chce mieć o nim dzisiaj fałszywy obraz, a na przemysł i technicę się nie zna. I do prostu pisze bzdury. Obecnie fachowcy znają wartość wielu działów polskiego przemysłu. Nie są oni zainteresowani w prostowaniu tego rodzaju fałszów. Zresztą rozpowszechnianie tych fałszów nie na nich jest bezpośrednio obciążone, lecz na szkodę polskiego wychodźstwa.

Do Polski wyjeżdżają najrozmaitsze ekipy — często na zaproszenie z Kraju. Czy nie warto by też zaprosić grupy poważnych przedstawicieli Polonii spośród przemysłowców i kupców i zapoznać ich z osiągnięciami produkcyjnymi? — Niech zobaczą i niech się autorytatywnie na ten temat wypowiedzą. Przecież rzecz w tym, że reklama artykułów przemysłowych, zresztą nie tylko przemysłowych, nie jest wcale łatwiejsza niż sama produkcja. Na każdym kroku jesteśmy tego świadkami. Jeżeli polskiemu eksportowi można coś zarzucić, to w każdym razie nie brak wysokiej klasy artykułów na sprzedaż, ale ich słabą reklamę.

la boutique polonaise

25, rue Drouot
PARIS 9^e

téléphone: 770-83-37
c.c.p. Paris: 189.46.68

poleca niżej podane książki dla młodzieży i pięknie ilustrowane dla najmłodszych:

Jan Brzechwa	— JAŚ I MAŁGOSIA	5,55 F
Konstanty Gałczyński	— MŁYNEK DO KAWY	2,80
Kazimiera Iłakowicz	— ZWIERZAKI I ZIOŁA	3,60
Czesław Janczarski	— DOMEK Z PIERNIKA	4,00
Hanna Januszewska	— ZART OLSZOWIECKI	2,50
Jerzy-Ludwik Kern	— PROSZĘ SŁONIA	9,90
Izabela Koniusz	— KROLEWSKA PIECZĘĆ	6,15
Janusz Korczak	— KRÓL MACIUS PIERWSZY	10,80
Janusz Korczak	— KRÓL MACIUS NA WYSPIE BEZLUDNEJ	8,65
Lucyna Krzemieniecka	— SŁOMKOWY ŁAŃCUSZEK	5,00
Janina Krzemińska	— CZTERY MISIE I TEN PIĄTY	4,60
Kornel Makuszyński	— O DWÓCH TAKICH, CO UKRADLI KSIĘŻYC	4,65
Adam Mickiewicz	— PANI TWARDOWSKA	3,50
Adam Mickiewicz	— BAJKI	3,10
Henryk Sienkiewicz	— W PUSTYNI I W PUSZCZY	9,25
Juliusz Słowacki	— O JANKU, CO PSOM SZYŁ BUTY	6,00
Julian Tuwim	— LOKOMOTYWA	3,50
Juliusz Verne	— W 80 DNI DOKOŁA ŚWIATA	5,55
Wiersze i kołysanki	— CHODZI, CHODZI BAJ PO SCIANIE	3,20
Ewa Szelburg-Zarembina	— O WARSZAWSKIEJ SYRENIE	3,50

Posiadamy zawsze na składzie duży wybór książek — dla dorosłych, młodzieży i dzieci oraz książki do nauki języka polskiego i francuskiego. Mamy też płyty dla dzieci! Do cen wymienionych doliczamy koszty własne przesyłki pocztowej.



REKORDZISTA

Inż. Stefan Z. z Chorzowa nabył ostatnio jedenasty odbiornik telewizyjny. Dwa z nich spalił, trzy zdemolował zdenerwowany — programem, dwa dalsze podarował znajomym, jeden przegrał w wyniku zakładu. Pozostałe po prostu sprzedał za połowę ceny, bo nie był z nich zadowolony.



— Gwiazdka już minęła —
na co panu choinka?

— Avez-vous vraiment besoin d'un arbre de Noël en plein février?

ROK STANISŁAWA WYSPIAŃSKIEGO



OSTATNIO minęło 100 lat od urodzin Stanisława Wyspiańskiego (ur. 1869 — zm. 1907) — jednego z najwybitniejszych przedstawicieli polskiej kultury — wszechstronnie utalentowanego dramaturga, poety, artysty, malarza, teatrologa. Światowa Rada Pokoju włączyła datę jego urodzin do cyklu obchodów na cześć wielkich ludzi na rok 1969.

Wielostronność talentu Stanisława Wyspiańskiego stawia go w rzędzie ludzi wyjątkowych. Twórca potężnych wizji artystycznych i subtelny liryczny, zrewolucjonizował teatr polski dziełami, które do dziś fascynują fantastyką, wyobraźnią i problematyką narodową. W ciągu 10 lat stworzył tak niepowtarzalne sztuki, jak: „Warszawianka”, „Leleweł”, „Kłatwa”, „Noc listopadowa” i „Wesele”, które wciąż budzą nowe interpretacje, dyskusje i komentarze. „Teatr swój widzę ogromny” — ta dewiza Wyspiańskiego stała się syntezą jego sztuk. Oddziaływał bowiem na widza nie tylko tradycyjnymi środkami, ale i takimi, jakimi dysponuje rzeźba, malarstwo, i architektura. Nie było, niestety, takiej sceny, na której mógłby zrealizować swój wielki program. Jednakże stworzony przez niego teatr krakowski zadziwiał perspektywami, rozmachem i fantazją twórczą. Sam projektował dekoracje i kostiumy, ożywił świat fantastyki, łącząc go z realiami swej epoki:

kazał greckim bogom z Olimpu lecieć do Polski, by tu włączyli się do walki o wywołanie Kraju; wprowadził na scenę słomiane chłopskie chochoły, które ożywił i którym kazał przygrywać do tańca („Wesele”).

Był też twórcą niepowtarzalnych witraży i polichromii zdobiących katedrę we Lwowie i na Wawelu oraz krakowski kościół Franciszkanów. Jego twórczość ozdobiła też wiele innych kościołów polskich; liczne dzieła malarskie są chlubą wielu galerii i muzeów.

Związany z Krakowem, tu urodzony, syn samorodnego artysty-rzeźbiarza rzemieślniczo pracującego dla kościołów, Stanisław Wyspiański od wczesnej młodości był sierotą. Studiował w Krakowskiej Szkole Sztuk Pięknych oraz na Wydziale Filozoficznym Uniwersytetu. Wcześniej przynależał do kultury ludowej widząc w niej czynnik zapładniający i jeździł po wsiach kopiując zabytki sztuki. Porwany rozmachem mistrza Jana Matejki, pomagał mu w pracy nad restauracją Kościoła Mariackiego w Krakowie.

Około 5 lat spędził w Paryżu, gdzie stworzył szereg dramatów i szkiców do obrazów. Zafascynowany literaturą francuską przełożył „Cyda” Corneille'a. Po powrocie z Paryża do Polski w 1900 r. ożenił się z kobietą z ludu, legalizując kilkuletni związek i dając nazwisko swoim dzieciom.

Zmarł w 1907 r., mając zaledwie 38 lat. Płakał po nim cały Kraków, płakała Polska, nie tylko artyści, ludzie sztuki i intelektualiści, ale i prości chłopcy, których wprowadził do swych dramatów, na plansze obrazów. Jego to przecież słowa w „Weselu” „chłop potęgą jest i basta” — szeroko poszły w lud, budząc w nim dumę i poczucie godności. Pochowany jest w grobach zasłużonych na Skałce w Krakowie. **K. Sz.**

„DIAMENTY I ALIGATORY” SENSACYJNY CYKL REPORTAŻY Z DZIEWICZYCH DŻUNGLI AMERYKI POŁUDNIOWEJ KIM JEST NASZ NOWY AUTOR

Już wkrótce zaczniemy druk fantastycznych, jednak jak najbardziej prawdziwych reportaży kanadyjskiego Polaka, Aleksandra Grobickiego pod tytułem „Diamenty i aligatory” z przygód w dziewiczych dżunglach Gujany Brytyjskiej. Kim jest ich autor?

KIEDY przed kilkudziesięciu laty uczęszczał do gimnazjum w Warszawie, wiedział, że systematyczne studia, spokojny żywot, który go czekał w najbliższych latach — to nie dla niego. Nie miał takich ambicji. Zadał czegoś innego od życia, wiedział co jest jego pasją. Marzeniem jego były podróże po świecie, poznanie dalekich krajów, innych ludzi, niepodobnych w swych zwyczajach i kulturze do tych, którzy go otaczali. Słowem WIELKA PRZYGODA. Podobne marzenia ma wielu młodych, ale wielką przygodę osiągają nieliczni. Aleksander Grobicki należy do tych ostatnich.

Początek nie był wcale taki romantyczny. W latach trzydziestych został zaangażowany przez Polską Agencję Telegraficzną (PAT) jako asystent korespondenta Agencji w Londynie. Początki nie były łatwe. Miał tremę przed robotą dziennikarską i nie najlepszą jeszcze wówczas znajomość języka angielskiego. Świeży, lotny umysł i gorączkowa chęć realizacji młodzieńczych planów sprawiły jednak, że wkrótce opanował trudny język „wyspiarzy” jak rodowity Anglik. Okazało się, że pobyt w Londynie był poważnym krokiem naprzód w realizacji życiowych planów A. Grobickiego.

Następnym jego etapem był Bliski Wschód. Już jako samodzielny korespondent PAT-u podróżuje intensywnie po Persji, Iraku, Libanie i Egipcie. Poznaje blaski, bogactwa i nędzę Wschodu, tamtejszych ludzi, ich małe i wielkie sprawy, wreszcie tajemnice niebezpiecznych, lecz pasjonujących rozgrywek międzynarodowych, których stawką jest drogocenna nafta.

Z tych podróży, obserwacji, z przeżyć osobistych, z konfrontacji legend z rzeczywistością powstają liczne utwory literackie, a przede wszystkim reportaże. W 1938 roku wydaje swą pierwszą powieść pt. „Towarzysz 103”. W tym samym roku ukazuje się „Pani na pustynnych szlakach” drukowana w odcinkach gazetowych. W rok później, przed samym wybuchem wojny wychodzi trzecia książka z cyklu orientalistycznego pt. „Wiatr z pustyni”. Jest to sensacyjna historia przemytu broni do Kuwejtu, oparta na autentycznych wydarzeniach.

W 1937 roku A. Grobicki — korespondent PAT-u na Bliskim Wschodzie, zostaje przeniesiony na stanowisko zastępcy kierownika Agencji w Londynie. Zbliża się wojna. Pisze w tym czasie korespondencje na tematy angielskie, które ukazują się w przedwojennym tygodniku „Polityka”. We wrześniu usiłuje za wszelką cenę wrócić do Kraju. Niestety, jest za późno. Melduje się więc jako ochotnik w szeregach Polskiej Armii we Francji. Ale i Francja pada. Przeprawia się wtedy nielegalnie przez Gibraltarię i jako żołnierz polski zostaje w Anglii spadochroniarzem. **Otrzymuje numer 0034** — jest jednym z pierwszych cichociemnych Polaków na wyspach. Ma dotrzeć do walczącego Kraju.

Los jednak chciał inaczej. Jako znający Bliski Wschód otrzymuje w 1942 r. rozkaz wyjazdu do II Korpusu Polskiego. W prasie emigracyjnej znów ukazują się jego liczne korespondencje, lecz jakże odmienny mają charakter.

Rok 1944. Włochy — bohaterska walka polskich oddziałów i zwycię-



stwo pod Monte Cassino. A. Grobicki jest w pierwszych szeregach. Walcząc, nie zapomina jednak, że jest człowiekiem pióra. W okresie tym napisał szereg reportaży wojennych, nowel i opowiadań o tamtych, krwawych dniach, wydanych później w zbiorku pt. „Wojenne błyski”.

W latach 1946—1948 podczas pobytu w Anglii wykańcza rozpoczętą przed wojną powieść historyczną o tematyce wschodniej pt. „Szabla proroka”.

W 1948 r. A. Grobicki wyjeżdża do Kanady. Odżywa w nim dawna pasja — zbaczając jak najczęściej. W Kanadzie daje się poznać nie tylko jako dziennikarz i powieściopisarz, ale i jako działacz polonijny. Z jego inicjatywy odbyło się wiele imprez, których celem była łączność emigracji kanadyjskiej ze starą Ojczyzną.

W 1958 roku autor rozpoczyna serię podróży po krajach Ameryki Południowej. Z okresu tego powstały trzy serie reportaży-opowiadań, z których jedną „Diamenty i aligatory” zaprezentujemy Czytelnikom na łamach „Tygodnika Polskiego”.

Jest to reportaż jak najbardziej autentyczny. Autor, miesiącami zaszyty w dżungli Gujany Brytyjskiej, z bronią na ramieniu, wędruje pieszo i wodą przez dzikie tereny, pełne niebezpieczeństw i... bogactw. Poznaje przyrodę tego kraju — jedną z ostatnich dziewiczych na naszym globie, poznaje ludzi, którzy wśród tej przyrody szukają szczęścia — Indian, Amerykanów, Niemców, Murzynów, Polaków, Czechów itp., ludzi zagubionych, często o genialnych zdolnościach, doskonałych organizatorów, ludzi niesłychanie sprytnych i zaradnych, ale również i nieszczęśliwych, wykojezonych, życiowo przegranych...

Reportaże A. Grobickiego „Diamenty i aligatory” to pasjonująca lektura z innego świata niż żyją nasi Czytelnicy.

Już wkrótce!

JUŻ W KWIECIEŃNIU „MAZOWSZE” W 9 MIASTACH FRANCJI

W poprzednim numerze informowaliśmy, że do Francji wybierają się na występy Państwowy Zespół Pieśni i Tańca „Mazowsze”. Popularne na całym świecie „Mazowsze” odbędzie w kwietniu tournée do 9 miast francuskich:

5—7 kwietnia 1969 r.		Monte Carlo
19	„	Lyon
20	„	Le Creusot
22	„	Troyes
23	„	Reims
25	„	Luksemburg
26—27	„	Nancy
28	„	Paryż
29	„	do 4 maja Nord

Szczegółowe informacje dotyczące występów „Mazowsza” (sala, godziny spektakli itp.) zamieścimy w jednym z najbliższych numerów „TYGODNIKA POLSKIEGO”.

Obecnie artyści z „Mazowsza” przebywają „w domu”, w Karolinie, gdzie szlifują program, jaki przedstawią francuskiej i polonijnej publiczności.

Znamy „Mazowsze” ze sceny. Interesujące będzie zapewne poznanie jego stałej siedziby — Karolina pod Warszawą. Codzienne życie i pracę dwustu młodych ludzi z Karolina przedstawiemy Czytelnikom w specjalnym reportażu.

KOMPUTERY BUDUJĄ STATEK

Na warsztacie traserni Wydziału K-1 Stoczni Gdańskiej znajduje się obecnie masowiec typu B-522; jest to pierwszy w dziejach naszego budownictwa okrętowego statek, w którego zaprojektowaniu poważny udział mają maszyny cyfrowe. Dzięki metodzie opracowanej przez inż. Jerzego Wiśniewskiego z COKB — komputery umożliwiły graficzne przedstawienie wykresu wręgów budowlanych oraz linii teoretycznych kadłuba. Metoda ta jest pierwszym krokiem na drodze do automatyzacji procesów technologicznych budowy statków.

Czytelnicy piszą Z OKAZJI NOWEGO ROKU

Na ręce przedstawiciela Polskiego Biura Podróży „Orbis” w Paryżu wpłynął list od p. Louis Pruel z Marsylii. Treść jego, wyrażająca bardzo serdeczne uczucia dla Polski, zainteresuje na pewno Czytelników „Tygodnika Polskiego”.

...Je conserve, malgré ma déportation par les Allemands en août 1943 — un bon souvenir de mon séjour en Pologne.

En effet, le 15 août 1943, que je me trouvais alors en Bretagne (France), j'avais été arrêté par les Allemands et dirigé sur la ville de Dąbrowa au delà de Katowice, en territoire polonais. Pour préciser, voici le voyage que j'avais effectué pour aller de France en Pologne, en août 1943 — voyage aller: Quimper, Paris, frontière allemande, Elfringen, Landau, Stuttgart, Nuremberg, Leipzig, Dresden, Wrocław, Opole, Katowice, Sosnowiec, Dąbrowa.

J'étais tombé malade au service des Hauts Fourneaux, à l'usine de guerre de Dąbrowa (cette usine métallurgique à Dąbrowa avait été fondée par l'Ingénieur français Verdier). Réformé par les Allemands pour affection pulmonaire — j'avais été rapatrié au début de janvier 1944 (je précise que mon médecin à Dąbrowa en Pologne s'appelaient le Docteur Radecki).

Mon voyage de retour en France s'effectua dans le même trajet, jusqu'à Leipzig, mais au lieu de descendre sur Nuremberg, je continuai sur Fulda, Worms Francfort sur le Main, Metz et Paris Gare de l'Est.

Ceci se passait, pour moi en août — janvier (Août 1943 — janvier 1944). Je serais très heureux de savoir si vraiment, mon médecin de Pologne le Docteur Radecki se trouve toujours à Dąbrowa, en Haute Silésie Polonaise.

Les Polonais de Dąbrowa étaient très sympathiques pour les Français.

A Dąbrowa, les petits Polonais me criaient: „Bonjour, Français, — Français!” tu ne m'as pas dit „Bonjour”. Ah! les charmants enfants de Dąbrowa en Pologne! Comment pourrais-je oublier ces braves petits Polonais, dont le père travaillait, comme moi, à l'usine de guerre de Dąbrowa ou encore mobilisé dans l'armée allemande. Non, jamais! Non! Jamais! Ma vie durant, je n'oublierai jamais mes braves petits camarades de Dąbrowa en Pologne. J'ai vu des mères de famille polonaises qui, à Dąbrowa, travaillaient elles aussi à l'usine de guerre ou travaillant à la gare de Dąbrowa et sur la voie ferrée.

A ces petits Polonais devenus des hommes et des femmes, depuis l'an 1943 — bonne et heureuse année 1969 à toutes leurs honorables familles de Dąbrowa et de Częstochowa, dans la région de Cracovie, Kraków en langue polonaise.

BONNE ANNEE — A TOUTE LA POLOGNE!!

LOUIS PRUEL
Marseille

Chcę mieć zapewnioną przesyłkę „Tygodnika”

Dzięki Szanownej Redakcji „Tygodnika Polskiego” za przesłanie mi mandatu na przesyłkę należności za rok 1969, a że ciągle o tym myślałem, to już dawno pieniądze na to odłożyłem i przelałem 40 franków na rok 1969 i 1970, aby mieć zapewnioną przesyłkę „Tygodnika”. Bardzo lubię czytać „Tygodnik” i czytam wszystko, z wyjątkiem tekstów francuskich. Lektura „Tygodnika” dużo mi daje.

Zarazem przesyłam Redakcji życzenia Wesołych Świąt i szczęśliwego Nowego Roku oraz wielu nowych Czytelników.

Ignacy WIELOCH
CHAUVRY

6 dowodów w sprawie PANI WALEWSKIEJ

Znany pisarz Marian Brandys, prowadzący badania nad panią Walewską, wobec krytycznych i przeczących głosów jakoby szczątki pani Walewskiej znajdowały się nie w Paryżu, lecz we wsi Kiernoza pod Łowiczem — opublikował w „Życiu Warszawy” obszerny list na ten temat. Czytamy w nim:

„Niesamowity „danse macabre” z panią Walewską — którego świadkami byliśmy w ubiegłych tygodniach — tak wszystkich zmęczył, że powracam do tego tematu z niejakim zażenowaniem. Ale sprowokował mnie do wystąpienia p. H. S. Czartoryski z „Poznania”, którego list pt. „Wale Walewska” przeczytałem w „Życiu Warszawy” z 5-6 bm. Zasadniczą polemikę na temat sławnej szambelanowej odsuwam do czasu ukazania się mojej książki pt. „Kłopoty z panią Walewską”, gdyż daję tam pełny zestaw dostępnych materiałów dokumentarnych związanych z tą postacią. Na razie chcę tylko odpowiedzieć na fragment listu, sugerujący Czytelnikom, że szczątki pomsierne Walewskiej nigdy nie były sprowadzone do Polski i nadal pozostają na paryskim cmentarzu Père Lachaise. Podobna sugestia już po raz trzeci pojawia się w prasie ostatnich dni. Można by mniemać, że dla usprawiedliwienia nieudanych poszukiwań w Kiernozi staramy się na siłę podrzucić Walewską Francuzom. Oto co pisze p. Czartoryski:

„Maria hr. d'Ornano z d. Nalecz-Łączynska, zmarła 11.12.1817 w Paryżu (rue de la Vieoire), została pochowana na cmentarzu Père Lachaise... i umieszczona w jednym z najstarszych mauzoleów należących do rodziny hr. d'Ornano... W ten sposób zagadka... przestała być zagadką...”

Tak chyba nie jest. Pomimo fiaska poniesionego w Kiernozi zagadka nie przestała być zagadką. Bo istnieje szereg przekonujących dowodów na to, że zwłoki Walewskiej przywieziono z Paryża do Polski.

DOWÓD PIERWSZY. W księgach parafialnych Kiernozi zachował się zapis: „Roku 1817 dnia 11 grudnia w mieście Paryżu we Francji przy ulicy Wiktorii w domu własnym pod nr 48 zmarła Jaśnie Wielmożna Pani Marianna z Łączynskich primo voto Walewska, powtórnie poślubiona Jaśnie Wielmożnemu Panu Augustowi hrabiemu d'Ornano generałowi dywizji wojsk Królestwa Francuskiego, KTOREJ CIAŁO PRZEWIEZIENIE DO KOŚCIOŁA PARAFIALNEGO W KIERNOZI ROKU 1818 DNIA 27 WRZEŚNIA. PROBOSZCZ KOŚCIOŁA JOZEF DEMETRIUSZ BUDNY POCHOWAŁ W KRYPIE KAPLICY WZNIESIONEJ KU PAMIĘCI POBOŻNEJ DUSZY ZMARŁEJ.”

DOWÓD DRUGI. Prawnik i biograf Walewskiej Filip hr. d'Ornano w swojej książce „The Life and Loves of Marie Walewska” (Hutchinson, London 1938) pisze:

„Na ołtarzu kaplicy, wznoszącej się nad rodzinną kryptą Ornanów na cmentarzu Père Lachaise stoi urna. Na jej piedestale widnieje nazwisko Marie Walewskiej... Jej serce, Urnę umieszczono tam 15 grudnia 1817 roku, CIAŁO ZŁOŻONO W PODZIEMIU, GDZIE POZOSTAWAŁO DO CHWILI PRZEWIEZIENIA GO DO POLSKI,

ZGODNIE Z OSTATNIA WOLA ZMARŁEJ.”

DOWÓD TRZECI. Inny potomek Walewskiej i dziedzic większości jej papierów osobistych — Roger hr. Colonna-Walewski z Paryża, przebywając w 1967 roku w Polsce, interesował się żywo kryptą w Kiernozi, zamówił w tamtejszym kościele mszę na intencje prababki i uznał potrzebę zidentyfikowania jej trumny. Zamierzenia tego nie zdołał zrealizować, gdyż w dwa miesiące po wyjeździe z Polski zginął wraz z żoną w katastrofie lotniczej.

DOWÓD CZWARTY. Przed kilku miesiącami znany magazyn paryski „Paris Match” (nr 993 z 20.4.1968) odpowiadając na list jednej z czytelniczek udzielił jej takiej oto informacji zaczerpniętej prawdopodobnie z francuskich źródeł rodzinnych:

„Maria Walewska wyraziła życzenie, aby jej zwłoki pochowano we Francji, ZYCZENIA TEGO NIE USZANOWANO I CIAŁO JEJ ZNAJDUJE SIĘ W WALEWICACH KOŁO WARSZAWY” (pomieszano oczywiście dwie rezjendy Walewskiej).

DOWÓD PIĄTY. Przekazywana z pokolenia na pokolenie ustna tradycja w Kiernozi nie tylko potwierdza fakt pochowania tam Walewskiej, lecz ponadto podaje pewne charakterystyczne szczegóły, związane z ceremonią sprowadzenia zwłok i z późniejszymi dramatycznymi perypetiami trumny.

W tym miejscu Marian Brandys cytuje jako dowód szósty list M. Grotowskię do Wacława Gąsiorowskiego, który w swoim czasie opublikował w „Tygodniku Polskim” i w końcowej części swej publikacji w „Życiu Warszawy” pisze:

„Opierając się na tych niewątpliwych dowodach i działając w ścisłym porozumieniu z patriotami lokalnymi Kiernozi — ja pierwszy 13 października ub. r. wystąpiłem na łamach tygodnika „Świat” z wnioskiem o ostateczne rozstrzygnięcie kontrowersji na temat miejsca pochowania Walewskiej. W skali ogólnych zagadnień krajowych nie była to sprawa ważna, lecz miała istotne znaczenie dla napoleonistów na całym świecie i mogła mieć bardzo konkretne skutki dla ruchu turystycznego w całym regionie łowickim. Ale przynajmniej nie nigdy bym z takim wnioskiem nie wystąpił, gdybym potrafił przewidzieć, w jaki sposób zostanie on w parę tygodni później podjęty i w jaki sposób będzie realizowany.”

Rozumiem, że nieprzyzwoity hałas, poprzedzający badania w Kiernozi i nie mające precedensu okoliczności, w jakich te badania przeprowadzono — mogły u wielu Czytelników wywołać niesmak, zgorzniecie i rozczarowanie. W pełni te uczucia podzielam. Ale to jeszcze nie powód, żeby całą historię wywracać do góry nogami i podważać prawdziwość udokumentowanych faktów — głęboko wrosłych w miejscową tradycję. Musimy pamiętać, że w małej Kiernozi pod Łowiczem — która w ciągu ubiegłych tygodni przesyłała wszystkie upojenia wzlotu i wszystkie gorące upadki — także czytuje się prasę stołeczną.”

Marian BRANDYS
Warszawa

MORALNY SENS EMBARGA

KIEDY kilka tygodni temu lotnictwo izraelskie dokonało brutalnego napadu na lotnisko w Bejrucie, niszcząc atakiem komandosów przybyłych na helikopterach 13 libańskich samolotów pasażerskich używanych w międzynarodowej komunikacji i wiele urządzeń naziemnych, świat przyjął to z oburzeniem. Ten wojenny akt na taką skalę miał być odwetem za zmuszenie samolotu izraelskiego do wylądowania nie w porcie przeznaczenia, lecz w Atenach. Dokonało tego dwóch członków arabskiego ruchu oporu, działającego na rzecz wyzwolenia okupowanych przez Izrael terenów arabskich.

„Kto napada na cudzy kraj, kto go okupuje — jak to uczynił w czerwcu 1967 Izrael — kto ciemięży jego ludność, musi być przygotowany na to, że sterroryzowani i pozbawieni wolności mieszkańcy będą przez swych najodważniejszych członków uciekali się do fizycznego demonstrowania swego istnienia i zrzucenia przemocy. I zdrowa moralna opinia międzynarodowa będzie po ich stronie, nawet wtedy, gdy agresor ma pieniądze i jest bogaty.”

Nie można oczywiście pochwalać zmuszenia siłą pasażerskiego samolotu do zmienienia kursu lotu, ale czyn taki należy co najwyżej do kategorii wybryków, podczas gdy odwet, jaki zastosował Izrael — napad helikopterów z komandosami — należy do kate-

gorii zbrodni wojennych. Demonstrując swą militarną siłę z za węgą, Izrael przypomniał — trzeba to z ubolewaniem stwierdzić — słynne pacyfikacje przeprowadzane przez „niezwycięzoną” (do czasu) machinę wojenną III Rzeszy w okupowanej Europie. Nic też dziwnego, że tego rodzaju odwet spotkał się z natychmiastowym i szerokim protestem. Wyraził przy tym m. in. swoje ubolewanie papież Paweł VI, potępił napad na Bejrut sekretarz gen. ONZ U Thant, a Rada Bezpieczeństwa ONZ uznała napad za akt pogwałcenia Karty Narodów Zjednoczonych i układa o przerwaniu ognia, jako wykonany z pełną premedytacją.

Od chwili napadu na lotnisko w Bejrucie i tak już bardzo zapalna sytuacja na Bliskim Wschodzie jeszcze się bardziej zaostrzyła. Grozi ona w każdej chwili katastrofą, której zasięg i skutki mogą być bardzo rozległe i niebezpieczne dla światowego pokoju. Toteż czynniki jak i wybitne osobistości, którym troska o pokój w świecie spędza sen z oczu, przedsięwzięły szereg kroków, aby niebezpieczeństwu przeciwdziałać, zanim nie będzie za późno. Jednym z faktów najdonioślejszych było — jak dotąd — w tym kierunku nałożenie przez Francję embargo na dostawę dla Izraela broni, samolotów i helikopterów oraz ich części. Miała Francja słuszny powód ku temu, aby zareagować, by broń przez nią sprzedawana nie była narzędziem zwiększania napięcia i niebezpieczeń-

stwa w świecie oraz brutalnych aktów militarnej agresji.

Zwolennicy agresywnych poczynań Izraela nie szczędzą zarzutów pod adresem państw arabskich, które jakoby miały grozić czy zagrażać niepodległości Izraela. Rzeczywistość jest jednak taka, że ci propagandziści mówią bez przerwy o agresywności Arabów, a od lat agresji raz po raz dokonuje Izrael. I o ile w czerwcu ub. roku wierzono jeszcze dość szeroko w rzekomo dobre intencje Izraela, to po ostatnich wyczynach — wbrew opinii niektórych organów prasowych i krzykliwej propagandzie — przekonanie to wyraźnie zmalało. Trzeba podkreślić, że w samym Izraelu nie wszyscy pochwalają agresywną politykę obecnego rządu.

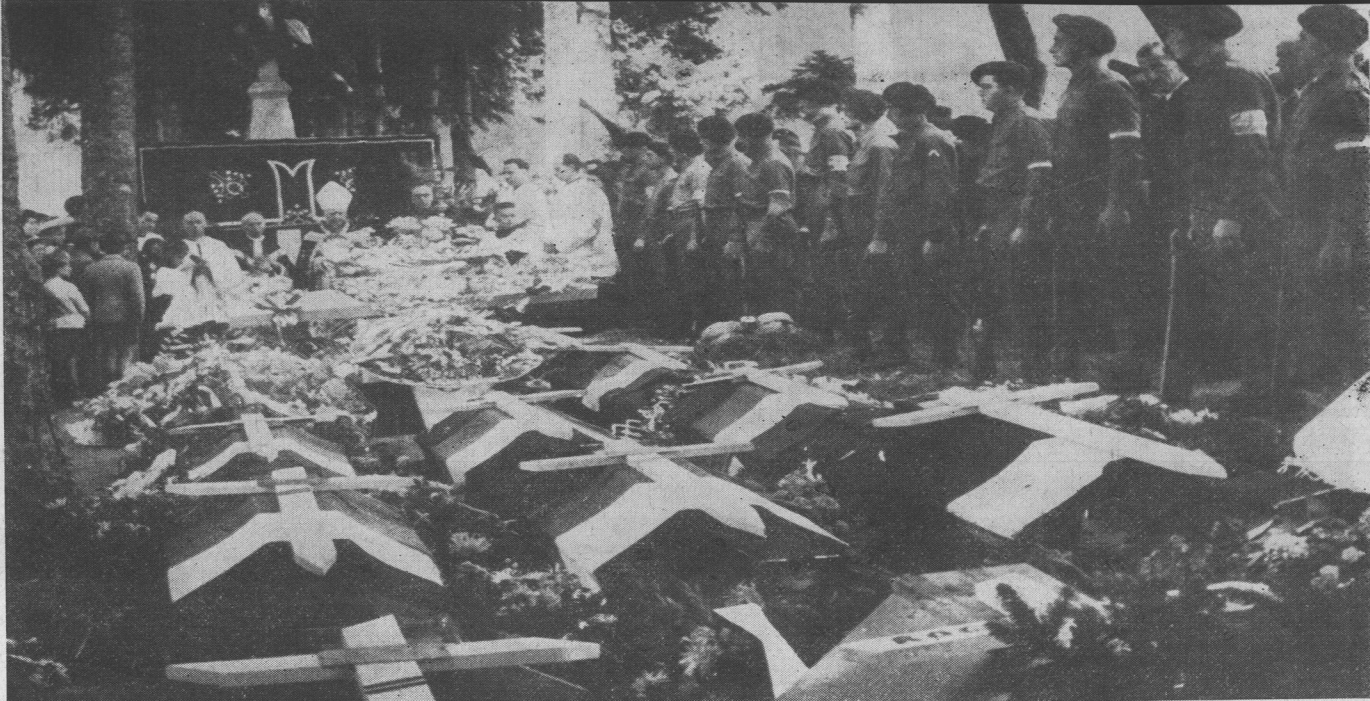
Stanowisko rządu francuskiego pokrywa się w sprawie sytuacji na Bliskim Wschodzie ze stanowiskiem Polski. Zarówno w Paryżu, jak i w Warszawie dyktuje go głęboka troska o pokój. Nie jest chyba przypadkiem, że te same środowiska, które w sposób niewybredny atakowały niedawno Polskę i podnosiły krzyk i groźby pod jej adresem — podnoszą je teraz, i w podobnym tonie, wobec rządu gen. de Gaulle'a.

Nie można zapominać, że sprzedaż broni, która ma służyć celom agresywnym, a więc do napadania, niszczenia i zabijania napaźniętych, jest nie tylko niemoralna, ale jest zbrodniczą. Nie darmo sprzedawców broni nazywano do niedawna „handlarzami śmierci”. Sprzedaż broni dopuszczalna jest wtedy, jeżeli ma ona służyć do obrony kraju i jego ludności przed agresorami i zaborcami. I taki jest wielki moralny sens nałożonego przez Francję embargo.

MÓWIĄ NAOCZNI ŚWIADKOWIE

OPOWIADANIE p. Edwarda Renn z Lyonu rozpoczyna się tak, jak gdyby mówił o swym wyjeździe z domu jeden z tylu tysięcy uczniów, którzy spędzali bezpiecznie w murach szkolnych lata młodości. Był to wprawdzie rok 1942, rok wojny i okupacji niemieckiej, mimo wszystko jednak większość młodzieży, zwłaszcza w tej właśnie nie okupowanej części Francji, nie przeżyła nawet drobnej części tragedii, jakiej świadkiem był p. Edward Renn.

— Rodzice moi mieszkali w Lyonie. W r. 1940, po powrocie z wojska, ojciec mój szukał pracy. Ponieważ nie udało mu się nic znaleźć na miejscu, musiał pojechać aż do Savoie. Do domu przyjeżdżał tylko na soboty i na niedziele. Matka moja pracowała w restauracji Polskiego Czerwonego Krzyża. Gdy doszedłem do 16 lat, wy-



Po wyzwoleniu ciała ofiar zostały ekshumowane i pochowane na cmentarzu w Villard-de-Lans

WIDZIAŁEM MASAKRĘ W VASSIEUX

ślali mnie rodzice do polskiego liceum do Villard-de-Lans.

— Początkowo, po przybyciu do Villard, nie miałem bliższych kolegów — mówi p. Renn. — Dopiero po upływie miesiąca zbliżyłem się z kilkoma chłopcami. Wytwarzali się wśród nas małe grupki przyjaciół. Moimi najbliższymi towarzyszami z ławy szkolnej stali się: **Zglinicki, Delinger, Pawłowski, Witold Nowak**. Nikt nie mógł wówczas przypuszczać, że żaden z nich nie przeżyje wojny.

— Dyrektorem szkoły był w r. 1942 jeszcze ciągle **prof. Zaleski**. Spośród profesorów pamiętam pp. **Cwikliński-go, Malbosa, Harwasa, panią Anissimow** i profesorkę biologii, której nazwiska nie mogę przypomnieć, a którą przeżywałem „Jamochłonnem”. Podobał mi się panujący w szkole porządek, dyscyplina. Poziom nauki był dobry, a po lekcjach pozostawało nam dość czasu na sport, muzykę i rozrywki. W naszym chórze, który zdobył sobie sławę na całą okolicę, śpiewał wtedy kolega **Hernik**. Wszyscy, którzy go znali, byli zdania, że stanie się on w przyszłości sławnym solistą.

— Pamiętam dzień, kiedy partyzanci przyszli do nas do liceum. Była to chyba niedziela, bo nie mieliśmy tego dnia lekcji. W ciągu 15 minut zebrałiśmy się wszyscy na placu przed merostwem. Najstarsi chłopcy, w wieku powyżej 16 lat, przyłączyli się do partyzantów. Byłem w ich liczbie. W szpitalu polowym (już nie pamiętam w jakim to było miasteczku) stanęliśmy przed komisją poborową i potem zostały utworzone grupy. Nasza grupa, w której znalazłem się razem z **Delingerem, Łukomskim, Zglinickim**, wyjechała autobusem do Vassieux, na te-

ren przygotowywanego przez partyzantów lotniska. Kiedy przybyliśmy na miejsce, od razu uderzył nas widok zniszczeń. Domy mieszkalne, zabudowania ferm, merostwo, kościół — wszystko było w ruinach. Na lotnisku leżały w różnych miejscach zasobniki z bronią zrzuconą przez samoloty alianckie. Te właśnie rzuty były przyczyną, dla której Niemcy nadlecieli nad Vassieux i tak straszliwie wioskę zbombardowali. Pozabijane krowy i konie zaczynały rozkładać się w upale. Były na pewno i ofiary w ludziach. Z ruin jednego domku, w którym mieściła się, zdaje mi się, piekarnia, dolatywały jęki zasypanego człowieka. Roboty więc mieliśmy od razu pełno. Trzeba było odgrzebać rannych spod ruin, trzeba było poznosić broń ze zrzutów, trzeba było pozakopywać pozabijane bydło, trzeba było pozasypywać leje powstałe na lotnisku wskutek bombardowania. Zaczęliśmy pracować. Pozostałem już odtąd w Vassieux i byłem świadkiem całej tragedii, która tutaj się miała rozegrać.

To, co zastał p. Renn przybywając do Vassieux, było dopiero początkiem tej tragedii. Wraz z kolegami zabrał się energicznie do pracy. Nie było to łatwe, gdyż co pewien czas nadlatywał niemiecki Dornier i ostrzeliwał ludzi znajdujących się na lotnisku. Trzeba było ukrywać się i wreszcie całkowicie zrezygnować z roboty w dzień. Podzielili się wtedy na 2 ekipy, jedna pracowała od zmiernych do północy, druga od północy do świtu. Trwało to trzy czy cztery dni, aż do 20 lipca.

— Ja należałem do pierwszej zmiany — opowiada p. Edward Renn. — Pracowałem przez pierwszą część nocy, a potem spałem. Pamiętam dzień,

w którym obudził mnie kucharz i zawołał, razem ze **Zglinickim, Delingerem** i innym jeszcze kolegą, którego nazwiska nie pamiętam, do obierania kartofli. „Jak skończycie, dostaniecie dobre śniadanie” — obiecywał. Śniadania tego dnia jednak nie mieliśmy już jeść. Około 9 rano usłyszeliśmy warkot samolotów. Było ich dużo, a echo w górach powiększało jeszcze hałas motorów. Myśleliśmy, że to Amerykanie i cieszyliśmy się, że lotnisko zostało na czas przygotowane. Doły zdążyliśmy pozasypywać, a jeden Francuz jeździł po przyległym polu pszenicy i wałem mechanicznym wyrównywał teren, aby jeszcze powiększyć obszar lotniska. Kiedy jednak wstuchałem się lepiej w warkot motorów, wydało mi się nagłe, że są to maszyny niemieckie. Wstałem i zacząłem patrzeć na niebo. Było pochmurne, ale deszcz jeszcze nie padał. Po chwili dojrzałem wyraźnie zbliżające się nad lotnisko samoloty z szybowcami na linach. Nie było już teraz wątpliwości: miały czarne krzyże na kadłubach. **Hernik**, solista naszego chóru, obsługujący karabin maszynowy na brzegu lotniska, zaczął strzelać do samolotów. Moi koledzy się rozbiegli. Nie zobaczyłem ich już nigdy więcej. Dodać trzeba, że nikt z nas nie miał broni. Ja chciałem początkowo biec w stronę stodoły, w której złożone były nasze plecaki, zgodnie z rozkazem dowódców, kapitana **Paquebot** i kapitana **Hardi**. Kiedy zauważyłem, że stodoła płonie, zatrzymałem się i zacząłem rozglądać się po terenie. Niemcy strzelali z samolotów, rzucali granaty zapalające na resztki zbombardowanych domostw, puszczane z lin szybowce zaczynały lądować. Nagle zauważyłem, że z ruin



P. Edward Renn z Lyonu — jeźdźdź Polak, ocalały w Vassieux

merostwa wybiegła francuska nauczycielka, która była wtedy z nami i zaczęła mnie przywoływać gestami. Zaczęłem biec do niej. Nie było to łatwe, bo na polu rozgorzała walka na całego. Ze wszystkich rogów lotniska strzelały nasze karabiny maszynowe, na co Niemcy, którzy lądowali z ciężkim sprzętem, odpowiadali bardzo gęstym ogniem. Byli już zabici i ranni. Ci, którzy pracowali na drugiej zmianie i pokładli się spać rano, ginęli prawie we śnie. Nauczycielka, która mnie wołała, chciała wraz ze mną zabrać harcerza, który miał głęboką ranę w ramieniu, aż do kości. Zaczęliśmy go nieść razem. Nauczycielka mi powiedziała, że schronimy się razem z rannym w jaskini, którą odkryła w pobliżu. Wydawało nam się, że przeczekaemy strzelaninę i wkrótce potem będziemy mogli wyjść z ukrycia. Oprócz nas dotarło do jaskini jeszcze kilka osób, tak że razem zebrało się tam nas w końcu jedenastoro. Za całe uzbrojenie mieliśmy jeden sten i jeden rewolwer.

— Na lotnisku tymczasem, walka zaczyna się przeradzać w masakrę. Niemcy, doskonale uzbrojeni i silniejsi liczebnie, mordowali po kolei wszystkich naszych. Goniłi za tymi, którzy próbowali schronić się w lesie, w ruiny domów rzucali granaty. Nad naszą jamą usadowiła się grupa Niemców z karabinem maszynowym. Znajdowaliśmy się tak blisko nich, że mogliśmy wyraźnie słyszeć krzyki i przekleństwa żołdaków. Przed wejściem do jaskini leżał olbrzymi stos drzewa i zasłaniał otwór. To nas ratowało, ale obawialiśmy się, że Niemcy usłyszą jęki harcerza, który bardzo cierpiał. Prosiłiśmy go, żeby starał się być cicho. Chłopak stracił już prawie przytomność, ale jednak zrozumiał nas. Zagryzał wargi do krwi i już nie jęczał.

Mimo że tyle lat upłynęło od owego lipcowego dnia 1944 roku, przypomina sobie p. Renn wszystko z najdrobniejszymi szczegółami. Gdy zaczął padać deszcz, Niemcy ścignęli karabin maszynowy i przeszli na inne stanowisko. Mijały godziny, strzelanina powoli cichła, ale o wyjściu z jaskini nie mogło być mowy.

Jeden z oddziałów maquisardów w masywie Vercors — grupa z Ecouges, w której byli Polacy



POBYT W PIEKLE

Rok 1943 zapisał się w kronikach II wojny światowej m. in. jako okres intensywnych poszukiwań nowych, „cudownych broni” przez kierownictwo III Rzeszy; broni, które miały mieć wpływ na zmianę losów i biegu wydarzeń działań wojennych.

Kłeska stalingradzka rozwiała mit o „niezwycięzonej” armii hitlerowskiej, a pobite i okupowane narody coraz częściej stawały na stanowisku nieublaganej walki z okupantem. Radio niemieckie coraz częściej usprawiedliwiała niepowodzenia swych wojsk „...koniecznością wycofania się na z góry upatrzone pozycje...”, „...skrócenia frontu...” itp. W tej sytuacji tylko nowy i doskonały technicznie typ broni raketowej mógł — zdaniem hitlerowskich ekspertów — zmienić bieg historii.

Po wykryciu przez wywiad angielski fabryki i poligonu doświadczalnego rakiet w Peenemünde na wyspie Uznam (m. in. dzięki wydatnej pomocy polskiego wywiadu AK) i zbombardowaniu jej 17 września 1943 roku, Hitler osobiście wydał rozkaz przeniesienia produkcji rakiet do innych, lepiej nadających się do tego celu miejscowości.

Główną i zasadniczą ideą tego rozkazu było rozlokowanie produkcji poszczególnych części rakiet w nowych rejonach okupowanej Europy, co miało utrudnić aliancom wykrycie i zbombardowanie tych obiektów podczas jednego, „dywanowego” nalotu bombowego.

W ten sposób i w takich okolicznościach rozpoczął się nowy, decydujący etap w produkcji broni raketowej V-1 i V-2 oraz V-3, która — zdaniem dowództwa niemieckiego — miała przeważać szalę zwycięstwa na korzyść hitlerowskich Niemiec.

LO UTRACIE doskonale wyposażonych laboratoriów i poligonów doświadczalnych w Peenemünde, dr Werhner von Braun (obecnie ekspert raketowy USA) i dr Lusser — twórcy rakiet V-1, nie zrezygnowali ze swych planów i „naukowych” aspiracji. W okolicach Nordhausen w górach Harzu Niemcy zlokalizowali nową fabrykę i laboratoria. Już w październiku 1943 zaczęły napływać do nowego obozu koncentracyjnego transporty więźniów z innych obozów. Głęboko w skałę ukryto fabrykę broni raketowej, która jednak nie przyniosła spodziewanego zwycięstwa Niemcom. Wnętrze olbrzymiej góry (pieczonej Kohnsteinu), porośniętej lasem dębowym i bukowym, stało się dla tysięcy więźniów — Polaków, Rosjan, Francuzów, Belgów i innych, miejscem niehumanitarnych tortur, często mogiła.

Brak podstawowych urządzeń sanitarnych, okrucieństwo załogi obozowej, praca w warunkach urągających podstawowym wymogom bezpieczeństwa oraz niepewność jutra, dziesiątkowała więźniów wyczerpując ich fizycznie i moralnie.

Zwyrodniali mordercy, członkowie załogi obozowej: Moser, Koenig, Sander, Bishop i Busta mordowali więźniów za najmniejszą nawet „przewinienie”.

W tunelach Dory odbywały się masowe egzekucje. Wieszano więźniów na suwnicach elektrycznych (tzw. kranach), na prowizorycznie skonstruowanych szubienicach, kneblując im usta drutem kolczastym, względnie zaklejając gipsem.

W DWUKILOMETROWYM TUNELU

„Po przybyciu do Dory starałem się zapamiętać wszystko, co ukazało się moim oczom: pusty jeszcze plac apelowy i parę namiotów przed wejściem do tunelu — mówi Antoni Cebula z Warszawy. — Po wypiciu zupy z liści kapusty, zapędzono nas w podziemia tej strasznej góry. Maszerowałem głównym tunelem i nie wierzyłem własnym oczom. Tunel miał około 15 m szerokości i 10 m wysokości. Na podwójnych torach stały wagony załadowane cegłą, cementem i żwirem. Nie mogłem dzisiaj określić, jak długi był tunel, przypuszczam jednak, że około 2 kilometrów. Obok tunelu, którym szliśmy, znajdował się równoległy drugi, podobny, połączony z pierwszym przejściami poprzecznymi. Przy końcu tunelu, w którym panował nieopisany zaduch i hałas, zobaczyłem okropny widok. W bocznym tunelu leżało kilkuset więźniów — spali na kamieniach. Wszyscy pokryci byli grubą warstwą białego pyłu, byli wynędzniali i chudzi. Gdy nas zobaczyli, jeden z nich powiedział: „Koleczy — Dora to piekło”. Drugi dodał: „Gorzej niż piekło. W piekło podobno jest ciepło i nie ma wilgoci, a tu woda spływa po ścianach i nasze ubrania są

bez przerwy mokre”. Byłem więc w piekło. Przekonałem się o tym po paru godzinach.

W Dorze nie było jednak komór gazowych, nie mordowano tu ludzi zastrzykami z fenolu czy gazem „Cyklon B”, dostarczczanym innym obozom przez zbrodniczy koncern IG-Farben.

W obozie Dora mordowano ludzi ciężką, niewolniczą pracą, przekraczającą siły katowanego i niedożywnego człowieka. Miliony marek splamionych krwią więźniów tego obozu wpłynęło do kas takich koncernów jak: Krupp, Heinkel i inne. Nie znaczy to wcale, że „klasyczne” metody masowego mordu zostały w tym obozie całkowicie zaniechane.

Dora, będąca w pierwszym okresie swego istnienia filią Buchenwaldu, pozostawała w ścisłym kontakcie z obozem macierzystym. Tysiące pomordowanych więźniów tunelu-fabryki przewożono transportami do pieców Buchenwaldu, a sytuację więźniów w Dorze pogarszał jeszcze fakt, że oboz miał specjalny charakter ze względu na produkcję „Wunderwaffe” V-1 i V-2.

Byli więźniem Dory — Jan Woźny, tak mówił o prowadzonych tam pracach nie tylko nad V-1 i V-2:

„...W Dorze, w podziemnych tunelach fabryki było 27 hal, nie oddanych jeszcze do produkcji. Jak nam powiedzieli niemiecki inżynier Bergfeld, w halach tych mieliśmy przystąpić do produkcji broni V-3.*) Już po kilku dniach, komando nasze znane było pod nazwą „Bergfeld Kommando”.

Więźniowie tego komanda nosili na lewym ramieniu tarczę blaszaną koloru czarnego z czerwoną literą „B”. Wejście do hal było bardzo starannie strzeżone. Produkcji nowej broni Niemcy nie zdołali jednak uruchomić. Wojna już się kończyła. Oboz został wyzwolony...

POLAK — ŚWIADEK Z SZEREGÓW MAQUIS

Każnię hitlerowskiego obozu przetrwał również młody wówczas inżynier-elektryk Bolesław Krokowski, który w 1934 roku rozpoczął studia na Politechnice Lwowskiej, a potem uzyskał dyplom w Grenoble. Aresztowany wraz z pięcioma francuskimi oficerami „Maquis” za udział w akcji bojowej w Grenoble 23.XII.1943 roku, uniknął śmierci przez prosty przypadek.

*) V-3 albo „Wunderwaffe die Pumpe” — miała to być monstrualnych rozmiarów dział wycelowany w sam Londyn. Każde automatyzowane działo, miało co 6 sek. oddawać jeden strzał. A więc 60 strzałów na minutę! Stąd kryptonim całego przedsięwzięcia: „die Hochdruckpumpe” — pompa wysokociśnieniowa. Każde z 50 dział o długości 127 m miało mieć kaliber 150 mm. Długość tych stosunkowo wąskich pocisków wynosiła 3 m, waga do 200 kg. Churchill, gdy obejrzał po wojnie konstrukcje fantastycznej „pompy”, powiedział: „Londyn mógł spodziewać się z tego miejsca ciosu najbardziej skutecznego ze wszystkich...” (program „die Pumpe” realizowano również koło Mimoyecques (we Francji).

Inż. Krokowski po aresztowaniu przez gestapo został odprowadzony razem z francuskimi kolegami do samochodu. Ponieważ w samochodzie, do którego wrzucono jego towarzyszy, zabrakło miejsca, wrzucono go do innego samochodu, którym przewożono ludzi aresztowanych podczas ulicznej „łapanki”. Pierwsze przesłuchanie nowych więźniów odbyło się według przyjętego w obozie porządku. Staniających się z wycieńczenia i głodu ludzi oprawy bili gumowymi pałkami, odliczając 25 razów. Dopiero po tym zabiegu wysyłano ich do tunelu, do prac ziemnych. Przy wierceniu tunelu pracowało około 3 tys. ludzi, a śmiertelność była ogromna. Na 20 tys. więźniów francuskich, którzy wykonywali tę pracę, zmarło około 18 tys. Inżynier Krokowski doczekał się wyzwolenia obozu, ale wielu z „jego” transportu — w większej części członków podziemnej organizacji na terenie Francji — zginęło na szubienicy lub z powodu ran zadanych im podczas przesłuchiwania.

W „LAURZE”

W ostatnich dniach września 1943 w obozie Buchenwald sformowano nowy — jeden z wielu — transport, składający się z ok. 1,2 tys. osób. Transport ten jako „Aussenkommando” — Buchenwald w dniu 1 października 1943 przewieziony został około 100 km na południe od obozu macierzystego — do Turynii, gdzie w miejscowości Saalfeld, w kamieniołomach kamienia łupkowego, należących do niejakiego Oertela (stąd nazwa Oertelsbruch) — rozpoczął pracę. Oboz ten, położony w dolinie porośniętej lasem iglastym, stanowił idealny teren do rozpoczęcia produkcji tajnej, nowej broni. Więźniów rozlokowano w starych barakach, spełniających dawniej funkcję magazynu narzędzi. W obozie, obok więźniów obozów koncentracyjnych, pracowali również Niemcy — pracownicy cywilni.

O początkach obozu i stosunku załogi obozowej do więźniów tak mówi były więzień „Laury” — p. Stefan Borowski z Chodzieży:

„...Kiedy wprowadzono nas do „Laury”, na placu apelowym czekali już na nas majstrzy-cywiłe. Każdy z nich trzymał w ręku grubą kij — a mimo to byli potwornie przerażeni. Cofnęli się nawet i zamarli w bezruchu. Oczekiwaliśmy innego „przyjęcia”. Tajemnica wyjaśniła się jednak już następnego dnia. Otóż cywilna ludność niemiecka widziała w tym okregu „Schutzhaftlinga” i do tego Polaka — po raz pierwszy. Propaganda niemiecka od 1933 „wmawiała” im, że Polacy to bandyci, potomkowie okrutnych i krwiożerczych plemion tatarsko-kozackich. Tuż przed naszym przybyciem ostrzeżono ich również, że do obozu przybędą oprawcy i mordercy z „krwawej niedzieli bydgoskiej”, którzy pomordowali matki i ojców. Nic więc dziwnego, że karmieni taką propagandą byli ostrożni...”

Komendantem obozu został — przybył również z Buchenwaldu — Obersturmbannführer Blaue, zastępcą — postrach Buchenwaldu — Oberscharführer Schmidt, mordujący więźniów bez powodu i przy każdej okazji.

W tunelach „Laury” — taki był bowiem kryptonim tego obozu — produkowano codziennie wiele nowych części rakiet V-2, silników odrzutowych tej rakiety, podobnie jak w obozie Dora z taśmy produkcyjnej schodziły codziennie korpusy rakiet V-1 i V-2. Jak wyczerpująca i trudna była praca niech świadczy fakt, że w okresie od 1.X.1943 do 24.XII.1943, w obozie „Laura”-Oertelsbruch, zginęło około tysiąca ludzi różnych narodowości.

Praca przy produkcji i montażu silników raketowych pocisków „V” trwała nieprzerwanie aż do momentu ewakuacji obozu, tj. do pierwszych dni kwietnia 1945. Transporty ewakuacyjne skierowano w kierunku Hof i Ingolstadt w głąb Niemiec, gdyż po zbrojnym powstaniu więźniów obozu koncentracyjnego w Buchenwaldzie, Himler wydał następujący rozkaz: „Zaden więźniów nie może wpaść żywy w ręce nieprzyjaciela”.

Zbliżał się koniec wojny. Transport więźniów z obozu „Laura” przedostał się przez zacieśniający się pierścień frontu, i w dniu 19 IV 1945 dotarł do Dachau-Allach, gdzie znajdowała się fabryka samochodów i silników pod nazwą „Bayerische Motor Werke”.

Po kilku dniach do Dachau wkroczyły wojska amerykańskie. Nadszedł czas wyrównania krzywd.

RODOWÓD „BERTY” I „LINZ III”

Podobny jest rodowód „Berty”. Jak wynika z informacji Tadeusza Szczepkowskiego, byłego więźnia tego obozu, w listopadzie 1943 wyjechał z Buchenwaldu transport około 1,5 tys. więź-

niów, których skierowano do Düsseldorfu i tutaj zatrudniono w specjalnym obozie o kryptonimie „Berta” — przy produkcji zbiorników napędowych do V-1 i V-2. Pracowali w zakładach Dorsig, w dzielnicy Grossenberg.

Natomiast Stanisław Bergandy ze Szczecina donosi o innym, jeszcze jednym ogniwie należącym do systemu produkcyjnego „Wunderwaffe”, o katorżniczym obozie — miejscu masowych mordów i niewolniczej pracy — w Redl Ziepfle, ukrywanym do 31 grudnia 1943 r. pod pseudonimem „Schilir”, a przemianowanym od 1 stycznia 1944 na „Puchheim”. Tutaj — w skalnych tunelach wykutych w masywie Alp — więźniowie produkowali płynny tlen do pocisków raketowych. Po zbombardowaniu tego obozu w połowie 1944 r. przeniesiono produkcję i oboz w okolicy Linzu w Austrii. Tam oboz otrzymał kryptonim „Linz-III”.

HISTORIA „WUNDERWAFFE” — AKT DRUGI

W imię sprawiedliwości i w hołdzie ofiarom — byłym więźniom Dory oraz pozostałym obozów „tragicznego trójkąta” Wunderwaffe — zrodziła się myśl opracowania monografii obozu Dora. Jesienią 1964 przy Katedrze Historii Niemiec Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu, powstało Studenckie Koło Naukowe Historyków „Dora”, którego kuratorem jest kierownik Katedry — prof. dr Zdzisław Grot; opiekunem — dr Jan Prędko a przewodniczącym — absolwent Wydziału Filozoficzno-Historycznego UAM, autor niniejszego szkicu.

Studenci poznańscy podjęli się trudnej i odpowiedzialnej pracy. Brak dokumentów i danych oraz ściśle tajny charakter obozu, stwarzają dodatkowe trudności. Pozostali jednak niechętni, byli więźniowie tego obozu, którzy mogą dać świadectwo prawdzie. Studenckie Koło Naukowe „Dora”, działające w porozumieniu z Zarządem Głównym oraz poznańskim Okręgiem ZBoWiD, a także z Główną Komisją Badania Zbrodni Hitlerowskich w Polsce i Zarządem Komisji Młodzieżowej ZO ZBoWiD — nawiązało z nimi kontakt.

Dotąd zebrano pokaźny materiał dowodowy, który wykorzystany zostanie do opracowywanej monografii obozu Dora. Z materiałów tych korzystała także GK BZH w Polsce, podczas przygotowywania toczącego się obecnie w Essen procesu przeciw członkom załogi obozowej Dory — Bustero-wi, Bischofowi i Sanderowi. Pracę studentów poznańskich ocenił również wysoko przewodniczący Międzynarodowego Klubu Buchenwald-Dora — Marcel Paul z Paryża, który w liście skierowanym do nich życzył im dobrych wyników w pracy.

Mgr Tadeusz BARTKOWIAK
Poznań

APEL STUDENTÓW POZNANIA

Materiały już zgromadzone nie wyczerpują jednak tematu. Dlatego studenci poznańscy zwracają się z prośbą do b. więźniów Dory oraz wszystkich, którzy mogą udzielić informacji na temat tego obozu, o listowne lub osobiste skontaktowanie się z nimi. Adres:

Studenckie Koło Naukowe Historyków „Dora” przy Katedrze Historii Niemiec Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w POZNANIU, ul. Marchlewskiego 124/126.

Życzenia noworoczne z FRANCJI

Najlepsze życzenia Zdrowego i Szczęśliwego Nowego Roku dla p. Janiny Kubi-szyn, p. Władysławy Godyn, p. Józefy Letner, p. Władysława Korpały wraz z Małżonką oraz dla całej Rodziny Łabuz-ków i Godyniów przesyła

Władek z Paryża



Sylwan Milewicz

PRZEZ DALEKI WSCHÓD NA LAZUROWE WYBRZEŻE

WSPOMNIENIA I PRZYGODY MUZYKA Z MONTE-CARLO

Zdarza się ludziom różnych zawodów, że los rzuca ich z miasta do miasta, z kraju do kraju, że życie ich upływa na ciągłych, nieraz dalekich wędrówkach. Nie zdarza się to często muzykom, których spokojna praca przywiązuje zazwyczaj do jednego miejsca na stałe, a przynajmniej na dłuższy okres. Tymczasem gdy słucha się opowiadania p. Sylwana Milewicza, ogarnia człowieka zdumienie, że w ciągu jednego życia można doznać tylu przygód i miespodzianek. W życiu spokojnego, cichego pianisty, jednego z bardzo niewielu Polaków zamieszkałych w Księstwie Monaco.

— Jeszcze przed pierwszą wojną światową działałem w szeregach PPS. Byłem za to prześladowany, aresztowany — wspomina p. Milewicz — ale gdy śpiewaliśmy ówczesny rosyjski hymn narodowy: „Boże caria chranij”, nie mogłem się powstrzymać nigdy, żeby nie zaśpiewać: „Boże caria zranij...” Takie rzeczy oczywiście nie uchodziły płazem. Byłem już wtedy muzykiem i miałem wyrobiony zmysł organizacyjny. Gdy wybuchła w Rosji rewolucja, zakładałem szkoły muzyczne, a w Chabarowsku — konserwatorium. Słyszałem od muzyków radzieckich, którzy przyjeżdżali w ostatnich latach z tego miasta do Monte-Carlo, że Chabarowsk jest dzisiaj półmilionowym miastem i ważnym ośrodkiem życia muzycznego.

Barwne są przygody p. Milewicza i wspomnienia z jego licznych podróży. Chętnie opowiada nasz muzyk o

swej pierwszej wielkiej podróży statkiem, która była dla niego jak gdyby „chrztem oceanicznym”.

— Zebrałem kilku muzyków i utworzyłem siedmioosobową orkiestrę. Mieśliśmy zawarty kontrakt z jednym wielkim hotelem z Singapur i jechaliśmy do tego miasta na sezon. Stacja meteorologiczna uprzedzała wprowadzić wszystkie statki, że będzie burza, ale nie przypuszczaliśmy, mimo wszystko, że będzie to aż tak straszne. Nad ramię wstąpiliśmy w strefę tajfunu. Do południa pozywane zostały wszystkie łodzie ratunkowe, maszt został złamany, telegraf uszkodzony. Połowa załogi była ranna, trzeba było więc pomóc marynarzom. Ponieważ koło sterowe zostało uszkodzone, kapitan wezwał pasażerów, aby kilku przyszło na ochotnika do obsługi wielkiego koła, do poruszania którego potrzebnych było 6 osób. Wybraliśmy jednak jakoś z tych kłopotów dzięki temu, że kapitan zrezygnował z wyznaczonej trasy i skierował statek na północ, do Władystoku.

Dla pasażerów niespodzianki tego rodzaju były bardzo przykre. Dla nas to nieoczekiwane przedłużenie podróży stanowiło katastrofę: nie mieliśmy pieniędzy na życie. Trzeba było w jakiś sposób zarobić. Wtedy wpadłem na pomysł. Po remoncie statku i powrotnym wypłynięciu na morze zaczęliśmy koncertować na pokładzie. Nastroiłem pianino, które znajdowało się na statku i wraz z całą moją orkiestrą graliśmy. Po każdym koncercie przeprowadzaliśmy zbiórki. Ludzie, zachwyceni muzyką, dawali nam spore datki. Otrzymałyśmy dewizy wszystkich chyba krajów świata. To pozwoliło nam nie tylko przetrwać podróż, ale również stworzyć sobie pewną rezerwę pieniędzy.

Gdy opowiada p. Milewicz o tym gdzie był, co widział, ogarnia słuchającego zdumienie. W ciągu dwudziestu lat międzywojennych trzykrotnie

jeździł na dłuższy okres pobytu do Japonii. Cztery i pół roku mieszkał w Pekinie, podróżował po Chinach, rok był w Szanghaju, pół roku w Tensinie, odwiedził Hogn Kong, Wyspy Malajskie, a wreszcie Pnom-Penh, Sajgon i wiele miast Indochin.

— W r. 1926 zostałem zaangażowany na pierwszego dyrygenta i dyrektora artystycznego Radia Indochin. Zaczęło mi się dobrze powodzić. Założyłem w Sajgonie biuro turystyczne, które przynosiło dochody. Wtedy mogłem sobie nareszcie pozwolić na odwiedzenie Polski.

Podróże, przygody, ciekawe spotkania z ludźmi, praca zawodowa rozmiłowanego w muzyce dyrygenta, pianisty i kompozytora — wszystkie te wspomnienia warte są utrwalenia. P. Sylwan Milewicz marzył zawsze o napisaniu książki-pamiętnika. Myślał, że sytuacja będzie temu sprzyjała, gdy przyjechał do Francji i osiedlił się na południu. Niestety, żona jego zaczęła wtedy chorować. Przez szereg lat prowadzona była długa i kosztowna kuracja, która pochłonięła wszystkie oszczędności państwa Milewiczów. Chorej nie udało się uratować. Zmarła, zostawiając pana Sylwana kompletnie samego.

— W tym tragicznym okresie mego życia zbliżyłem się z doktorem André Migot, siennym lekarzem, podróżnikiem, autorem pięknej książki „Immortelle Pologne”. Był on jednym z tych, którzy usiłowali, daremnie, ratować mą żonę.

— Po jej śmierci zostałem bez pieniędzy. Dom, który nabyłem za zarobki poprzednich lat, musiałem sprzedać. Osiedliłem się wtedy w Monte Carlo i żyję z lekcji muzyki.

— Więcej o mych przygodach nie opowiadam. Opiszę je w mej książce — mówi p. Milewicz. — Będą to pierwsze wspomnienia opracowane przez Polaka z Księstwa Monaco.

ZBIERAMY PAMIĄTKI EMIGRACJI

O CALMY OD ZAPOMNIENIA DOROBK MUZYKANTÓW I ŚPIEWAKÓW

— Sądzę — mówi p. Ratajski — że sprawą zbierania pamiątek Emigracji należy i warto zająć się także od strony muzycznej. Emigranci to ludzie muzycalni, w polskich skupiskach było i jest dużo muzykantów, słusznie mówią o nas Francuzi, że „les Polonais ont la musique dans l'âme”... Bardzo wielu emigrantów, a ściślej mówiąc Westfaleków przyjechało do Francji z jakimś instrumentem. Wśród Westfaleków najbardziej popularnym instrumentem był bandoneon. We Francji nie znano jeszcze w owym czasie tego instrumentu, można więc powiedzieć, że modę na bandoneon przywieźli do Francji górnicy polscy z Westfalii. Westfalecy kochali się również w skrzypcach. Każda w ogóle rodzina uważała sobie w tamtych latach za punkt honoru mieć w domu przynajmniej jednego muzykanta.

...Rozlokowawszy się w nowej odczyźnie, emigranci polscy z miejsca zabrali się do muzykowania. Zaczęto zakładać orkiestry — pierwsze orkiestry taneczne sformowały na Nordzie Polacy. Grano dużo i hucznie — na balach, w „kafekach” (radio było jeszcze rzadkością), na targach, w kinach (filmy były nieme), na weselach — pamiętam, że w tamtych „pionierskich” latach w każdą dosłownie sobotę odbywało się u nas w kolonii kilka wesel — na i oczywiście na uroczystościach. A uroczystości urządzały wtedy naprawdę dużo. Każde stowarzyszenie — a stowarzyszeń i organizacji polskich była moc niezmierna — organizowało akademie, majówki, rocznice... Na tych wszystkich uroczystościach grano oczywiście przede wszystkim rzeczy patriotyczne, one bowiem najbardziej pokrzepiały emigrantów na duchu. W ogóle muzyka stanowiła więź z Krajem — i chyba dlatego było wtedy tak dużo orkiestr i muzykantów.

...Pamiętam, że powoływały kluby mandolinistów i bandeonistów... Ze co

Jak sobie Czytelnicy przypominają, w jednym z zeszłorocznych numerów „Tygodnika” omówiliśmy zamieszczony w wychodzących w Warszawie „Problemach Polonii Zagranicznej” artykuł prof. dr Remigiusza Bierzanka, zatytułowany „Stan i potrzeby badań naukowych nad problematyką polonijną”, w którym krajowy uczyony twierdzi m.in., że poglądy traktujące Polonię zagraniczną jako „usychającą gałąź” są uproszczeniem złożonego procesu społecznego i że dzieje skupisk polonijnych należy włączyć do historii Polski.

Opublikowaliśmy już rozmowy, jakie na temat podniesionych przez prof. Bierzankę problemów przeprowadzaliśmy z generalnym sekretarzem Związku Polskich Bractw Kurkowych we Francji p. Witoldem Nowakiem, p. Józefem Curylo, który przez wiele lat zajmował się pracą społeczną w Kole Przyjaciół Harcerzy w Calonne-Ricouart, p. Janem Dobrzelewskim, który długo przesował Kolu Teatralnemu im. Adama Mickiewicza w Marles-les-Mines oraz z trzema przesami organizacji polonijnych z Nordu.

Dzisiejszym naszym rozmówcą jest zamieszkały w Harnes (Pas-de-Calais) znany kompozytor — p. Stanisław Ratajski.

roku odbywał się u nas w Harnes konkurs muzyczny, który zawsze gromadził imponującą ilość orkiestr... Ze w pierwszych latach produkowali się także w koloniach dudziarze — zwłaszcza na weselach... Największymi sławami tego okresu byli skrzypiec Jan Michalak, o którym pisaliście już w „Tygodniku”, bandeonista Moskwa, o którym i dziś jeszcze mówi się z podziwem, no i Franciszek Krzyżaniak, skrzypiec z Noyelles-sous-Lens, który dziś jest nauczycielem muzyki w Polsce. Jeśli zaś idzie o zespoły, to jednym z najgłośniejszych było Trio Mandolinistów z Noyelles-sous-Lens.

...To Trio Mandolinistów istnieje po dziś dzień — wydali oni nawet płyty. Sygnalizuję to dlatego, że jest to sytuacja wyjątkowa. Znakomita większość polskich zespołów muzycznych poszła po wojnie w rozsypek, niestety, to samo można powiedzieć o tak licznych przecież w latach przedwojennych kołach śpiewu. Wydaje mi się, że także i ten odchodzący w bezpowrotną przeszłość świat emigracyjnych muzykantów i śpiewaków warto starać się „ocalić od zapomnienia”. Ze warto udzielić głosu także i dawnym muzykantom i spisać ich wspomnienia. Wszak, jak wam już mówiłem, muzyka była dla tych ludzi nie tylko rozrywką, ale także i więzią z Polską. Wszak muzyka, umiłowanie muzyki i

piosenki polskiej, krzewienie zamilowania do muzycznego folkloru polskiego — to jeden z piękniejszych rozdziałów historii Emigracji!

I jeszcze jedno. Emigracja polska we Francji nie pozostała na lubowaniu się w muzyce i piosence polskiej i na krzewieniu zamilowania do polskiego folkloru muzycznego. Ona zdobyła się także i na oryginalną twórczość muzyczną. We Francji zro-

Stanisław Ratajski z żoną i córką



dził się nowy, odrębny, oryginalny styl polskiej muzyki ludowej. Ta propagowana przez orkiestry Nowaka, Kmicika, Krakowskiego i kilku innych jeszcze muzykantów polsko-francuska muzyka przyjęta została z aplauzem nie tylko we Francji, ale również i w Stanach Zjednoczonych. Podoba się ona także naszym Rodakom w Kraju — mogę o tym coś powiedzieć, bo prowadzę sklep muzyczny, klienci często przyprowadzają do nas gości z Polski. Słowem: jest w niej coś, co porusza i emigrantów, i Polaków żyjących w Kraju. W moim przekonaniu tę muzykę też trzeba by wliczyć w poczet emigracyjnych pamiątek. Bo przecież przybliżyła ona i przybliży emigrantom i dzieciom i wnukom emigrantów Polskę. Kiedyś napisaliście w „Tygodniku”, że dobrze byłoby, gdyby w Polsce nagrano płytę prezentującą naszą twórczość muzyczną. Istotnie, byłby to najlepszy sposób ochrony tego naszego dorobku od zapomnienia. A poza tym, gdyby, przypuścimy, doszło do wydania takiej płyty, zięciłoby się wreszcie nasze, to znaczy kompozytorów, marzenia. Co to znaczy? To znaczy, że choć emigracyjny kompozytor pisze przede wszystkim dla Polonii, to jednak jednym z najgłębszych jego pragnień jest: dotrzeć do Polski, do publiczności w Polsce...



Z okazji Nowego Roku

Rodzina Czytelników „Tygodnika”

CZYTELNICY „TYGODNIKA” W SWOJEJ REDAKCJI

Organisée en octobre 1968, la première rencontre des lecteurs de „LA SEMAINE POLONAISE” avec la rédaction de leur journal nous avait valu un volumineux courrier. Nombre de lecteurs habitant en province nous écrivaient pour nous dire combien ils regrettaient de n'avoir pu y assister; quant à nos amis de Paris, ils nous demandaient de leur dire à quelle date aurait lieu la prochaine réunion. Manifestement, l'idée de ces rencontres a énormément plu.

Témoin la nouvelle rencontre que „LA SEMAINE POLONAISE” vient d'organiser à l'occasion de Noël et du Nouvel An et qui a réuni plus de quarante personnes. Cet „arbre de Noël” s'est déroulé dans une atmosphère véritablement cordiale. Vers 18 heures, notre rédactrice en chef présenta ses meilleurs voeux aux personnes présentes et à tous nos lecteurs et proposa à l'assistance de participer à un concours-éclair qui avait pour thème „Mes trois premières journées en France”. Treize personnes y prirent part; la qualité des interventions était jugée au nombre des applaudissements. Les prix — des objets d'art folklorique polonais — furent gagnés par MM. Stanisław Krzysowski de Drancy, Kazimierz Molenda de Vigneux, Stanisław Hałys d'Athis-Mons et Mme Stefania Urbaniak de Gonesse. En outre, toutes les personnes présentes reçurent pour étrenne une petite poupée polonaise.

Vedette de la Radio et de la Télévision polonaises, Jerzy Michotek vint ensuite nous chanter quelques-unes de ses dernières chansons et des mélodies d'antan. Il fut très applaudi. Pour finir, en décida de faire une „photo de famille”. On ne se sépara — à regret — que vers vingt et une heures, non sans s'être promis de „remettre ça” en 1790, bien entendu.

Podobnie jak za pierwszym razem, przed spotkaniem przyszły do redakcji listy Czytelników. Pisali w nich z Troyes, spod Bordeaux, ze środkowej Francji i z północy, że żałują ogromnie, iż tak daleko mieszkają od Paryża i tego dnia nie mogą wspólnie z innymi Czytelnikami spędzić wieczoru w redakcji. Czytali o pierwszym takim spotkaniu redakcyjnym, zorganizowanym w październiku i bardzo ten pomysł spotkał im się spodobał. O tym, że dotąd właśnie takich spotkań ludziom brakowało i teraz chętnie przychodzą do redakcji, świadczy fakt, że na noworoczne spotkanie do redakcji przyszło tyle osób, iż skromny lokal redakcyjny z ledwością mógł wszystkich pomieścić — ponad czterdzieści osób!

PIERWSI goście zjawili się już na godzinę przed rozpoczęciem spotkania. Byli to państwo Krzysowski z Drancy. Za nimi zaczęli schodzić się następni — p. Król z Levallois, p. Hałka z Argenteuil, p. Hałys z Athis-Mons, p. Kubiszyn i panna Gbiorczyk z Paryża. Ci ostatni byli już na poprzednim spotkaniu. Pan Guz z Argenteuil przywodził z sobą żonę i córkę, podobnie jak nasz stary znajomy p. Michalski z Orly. Państwo Janakiewiczowie przyszli zaś z małą córeczką Agnieszką, która stawiając pierwsze swoje kroki w życiu, nie tyle czyta, ile „ogłada” „Tygodnik”. Tak kolejno można by wymienić jeszcze wiele, wiele nazwisk.

Powitaniom, serdecznym życzeniom nie było końca. I już nawiązały się pierwsze rozmowy, wymiana zdań na temat gazety, pracy redakcji, co by tu



Uroczystość redakcyjną otworzył noworoczny toast za pomyślność Czytelników „Tygodnika” (zdjęcie powyżej) od prawej: redaktor naczelny „Tygodnika Polskiego” Urszula Kozierowska, dalej p. Guz z Argenteuil, p. Kubiszyn z Paryża, p.



Guzowa, p. Mikołajczyk z Issy-les-Moulineaux, p. Stodolniak z Paryża. Redaktor Kozierowska (zdjęcie powyżej) otwiera zaimprovizowany konkurs: Jakie było najciekawsze moje przeżycie w ciągu trzech dni, gdy przyjechałem do Francji?



Od lewej: państwo Sondejowie z St. Denis, p. Król z Levallois i państwo Asseef z Paryża.



Wypowiedzi zaintetresowały wszystkich, a niektórych rozbawiły wspomnienia dawnych czasów...



Pani Stefania Urbaniak z Gonesse (po lewej) otrzymuje jako nagrodę konkursową lalkę w stroju ludowym oraz szczerze gratulacje



Zdobywca pierwszej nagrody konkursu p. Krzysiowski z żoną z Drancy oglądają piękny ludowy kilim. Z tyłu pan Kamiński

jeszcze można zamieścić w „Tygodniku”. Redaktorzy (nieliczni, bo redakcja „Tygodnika” jest niestety niewielka) z dużą wdzięcznością słuchali słów uznania za ich trud oraz uwag i propozycji odbiorców „Tygodnika”. A więc nowa powieść Władysława Umińskiego pt. „Znojny chleb” jest dobra i podoba się. Ale warto by zamieszczać w „Tygodniku” równoległe dwie powieści. Nie wolno redakcji zapominać o starych Czytelnikach, którym już wzrok nie dopisuje i dawać niektóre teksty mało czytelnym, drobnym drukiem, jak np. rubryka „C'est la vie” itp. Więcej trzeba pisać o kobietach i dla kobiet — padały propozycje. — Więcej porad prawnych, artykułów obyczajowo-społecznych, problemów poruszanych w „Radach od Serca” przez panią Annę, tak chętnie czytanych przez wszystkich. Bo kto im, Polakom we Francji, ma poradzić, pouczyć jak postępować, pokierować nimi, jak nie „Tygodnik”? Jeszcze inni oprócz wymiany zdań pytali, czy mogą zapłacić nową prenumeratę — pokazali swym przyjaciołom „Tygodnik”, spodobał im się, a więc pragną zaprenumerować pismo. To może by tak od razu na miejscu wszystko załatwić? Dlaczego nie, w redakcji z miejsca wypisano karty nowych czytelników.

Gdy pokój redakcyjny wypełnił się po brzegi, każdy z każdym znajomym już się przywitał, redaktor naczelny „Tygodnika” powitał wszystkich jak najserdeczniej, podkreślając, jak wielkim świętem dla samej redakcji jest fakt, że może w swych skromnych progach gościć na kolejnym spotkaniu swych Czytelników, jeszcze liczniej niż na poprzednim spotkaniu.

— Dzisiejsze nasze spotkanie — stwierdziła redaktor naczelna — ma odmienny charakter niż poprzednie, gdyż odbywa się z okazji Nowego Roku. Toteż życząc wszystkim tu obecnym dobrego, pomyślnego i zdrowego Nowego Roku, składam te życzenia za Waszym pośrednictwem wszystkim



Czytelnikom „Tygodnika Polskiego”. Niech rok 1969 będzie dla wszystkich jak najszczęśliwszy i życzę nam, żebyśmy z okazji następnego Nowego Roku spotkali się w jeszcze liczniejszym, jeszcze bardziej zżyłym gronie przyjaciół.

Na toast, wzniesiony za zdrowie i pomyślność Czytelników „Tygodnika Polskiego”, zebrani odpowiedzieli wzruszającymi życzeniami dla Redakcji.

Wiele wspomnień dawnych, przeżyte nigdy nie zapomnianych, przywrócił w pamięci zebranych konkurs przeprowadzony przez redaktor naczelna. W ciągu kilku minut trzeba było opowiedzieć przeżycie, które najbardziej utkwiło w pamięci, a które zdarzyło się w ciągu pierwszych trzech dni po przyjeździe do Francji. Konkurs ten spodobał się. Uczestniczyło w nim trzynaście osób, a huczne oklaski, nieraz salwy śmiechu, gdy dziś, po czterdziestu, lub trzydziestu kilku latach, przeżycie to wydawało się zabawne, najlepiej świadczyły o powodzeniu konkursu.

Zbuntowali się jednak młodzi, którzy się już we Francji urodzili: „A co my mamy opowiedzieć?” Od razu wprowadzono innowację do konkursu. Młodzi mogli opowiedzieć swoje najciekawsze przeżycie podczas pierwszego zetknięcia się ich z Polską, jako że wszyscy już do Polski jeździli. Wszyscy się na to zgodzili, ale wobec barwnych opowieści starszych młodzi widocznie czuli się oneśmieleni; bo jednak nikt z nich głosu nie zabrał.

Oklaski wszystkich zebranych były też wyrazem oceny wypowiedzi konkursowych. A więc zgodnie z wolą uczestników spotkania **pierwszą na-**

grode, piękny zielony łowicki kilim zdobył **p. Stanisław Krzysiowski z Drancy**.

Druga nagroda — barwna poduszka przypadła w udziale **p. Kazimierzowi Molendzie** (synowi) z **Vigneux**; tak wzruszył zebranych swą krótką wypowiedzią i słowami podziękowań, którzy po przyjeździe do Francji tak ciężko pracowali po to, by oni, ich dzieci, mogli się uczyć i mieli lepszy niż ich rodzice start życiowy.

Trzecią nagrodę — lalkę w polskim stroju ludowym zdobył **p. Stanisław Halys z Athis-Mons**, a **czwartą nagrodę** — również lalkę — **p. Stefania Urbaniak z Gonesse**.

Wszyscy uczestnicy spotkania otrzymali na pamiątkę maleńkie laleczki.

Dużą atrakcją redakcyjnego spotkania były też piosenki przebywającego obecnie w Paryżu znanego warszawskiego piosenkarza i kompozytora **Jerzego Michotka**. Za jego występ Czytelnicy „Tygodnika” oklaskiwali go gorąco.

A na zakończenie postanowiono sobie zrobić „rodzinną fotografię”. Na pamiątkę serdecznego i miłego wieczoru w redakcji. Fotografii tę można zaś podpisać: „Rodzina Czytelników Tygodnika”.

Długo jeszcze trwały rozmowy redakcyjnych gości. A potem powtarzały się słowa:

— Dziękujemy, dziękujemy. Dziękujemy za ten miły wieczór — mówili odchodzący goście.

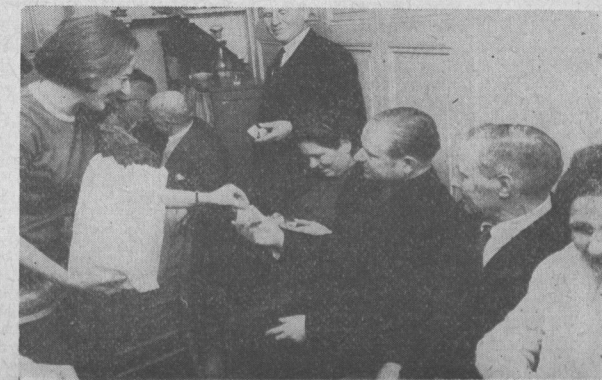
— I my dziękujemy. Do widzenia. Do widzenia. Do zobaczenia w redakcji — odpowiadali redaktorzy.

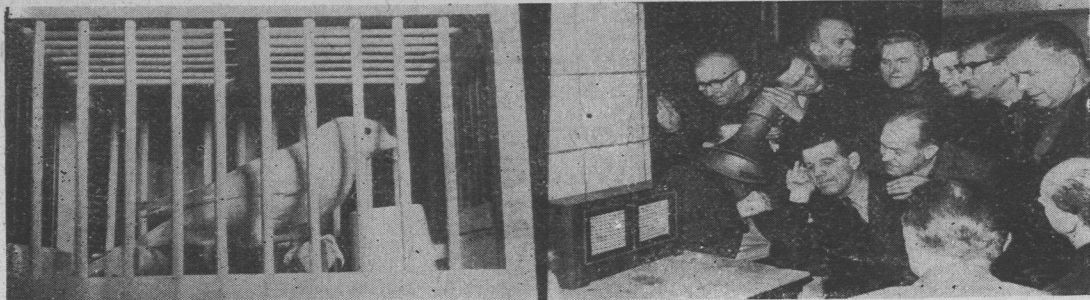
Na wieczorze wystąpił znany piosenkarz estradowy i kompozytor z Warszawy p. Jerzy Michotek

Z zainteresowaniem słuchali wszyscy polskiego piosenkarza



Każdy z uczestników dostał na pamiątkę tę małą polską laleczkę





Konkurs na najlepszego kanarka-śpiewaka, jak twierdzą znawcy, wywołuje ogromne napięcia. Na konkursie warszawskim, który odbył się z okazji 15-lecia istnienia polskiego Związku Hodowców Kanarków — śpiew pierzastych sopranów odbywał się anonimowo, w zamkniętym pokoju, do którego wnoszono klatki z zawodnikami. W sąsiednim pomieszczeniu napiętni hodowcy nadsluchiwali słodkich treli. Wywoływało to u niektórych nawet palpitacje serca. A swoją drogą dobrze, że w cywilizacji przemysłowej naszych czasów nie zginęła ludzka miłość do tych maleńkich żółtych śpiewaków



Koniec z famiolkami, jak się nazywa na Śląsku wielkie, czarne, duszne kamienice. Nowe Zabrze, o którym tak pięknie powiedział kiedyś gen. de Gaulle, wyłania swój kształt nowoczesnego miasta 200-tysięcznego. Pawilony handlowe wznosi się w dwu poziomach: kamienice stoją wolno, by każdy miał dostęp do światła i przestrzeni. Powstaje nowy Śląsk



Za czasów gdy po Francji, Polsce, Niemczech chadzali neandertalczyki z maczugami, żył w Europie wielki, włochaty słoń-mamut. Teraz słoń nie ma, tylko — jak w warszawskim ZOO żyją pod ochroną ludzi. Choć ten słoń pochodzi z gorących krajów — z Afryki — gruba skóra chroni go przed zimą. Co rano zamieszkały w Warszawie starszy pan z trąbą wraz ze stwoją starszą panią udają się na maleńki spacer

● Originalny kolekcjoner

Znany już różnych hobby-stów, ale żaden nie może się pochwalić tak oryginalnym zbiorem jak mieszkaniec Łodzi p. mgr Anatol Gupieniec. Poszukuje on mianowicie glinianych tabliczek pochodzących ze starożytnego Babilonu. Posiada także pięć tabliczek zapisanych starożytnym, najstarszym pismem Sumerów — pismo warszawski „Kurier Polski”. Zauważają one wykazy dostaw danin, bydła, piwa i wyrobów rzemieślniczych. Jedną z babilońskich tabliczek donosi o dostawie ozdobnych drzwi brązowych do świątyni w mieście Adduga, położonym w południowej części ówczesnego państwa babilońskiego. Znaczący, którzy odczytali je, twierdzą, że pochodzą one z czasów, gdy jeszcze istniało owo legendarne Ur, miasto, o którym wspomina biblia w księdze Abrahama. Najcie-

kawszy w sprawie kolekcji p. mgr Gupieniec jest fakt, że tabliczki z pismem klinowym odkupił on od prywatnych posiadaczy. Jego osobisty zbiór, pisze warszawski dziennik, jest bogatszy od zbioru tabliczek z pismem klinowym, jaki posiada Muzeum Narodowe.

● Gminne spółdzielnie zaczęły kalkulować przewozy

Ekonomiści rolni obliczyli w Kraju, że polski chłop zużywa rocznie 60 dni na przejazd, głównie na dostawy swoich produktów oraz przywożenie z magazynów rolniczych nawozów, materiałów budowlanych itd. To powoduje oczywiście zmniejszenie wydajności pracy, a koszt takiej dniówki furmankowej nie jest wcale tak mały. Dlatego postanowiono zorganizować

● Ciągłe jeszcze produkują gotyckie cegły

Dawno przestano budować gotyckie kościoły i ozdobne rynki, ratusze — ale cegły jeszcze się w Polsce produkuje. Wymagają tego potrzeby remontów zabytkowych budowli. Taką oryginalną specjalnością ma cegielnia „C” w Złocięcu w woj. Koszalin. Z tej cegły ostatnio odnawiano i odbudowywano zamki w Słupsku, Tucznie i Swidnie oraz piękną kolegiatę w Kołobrzegu, miasteczko słynnym z tego, że tam założył Bolesław Chrobry polskie biskupstwo. W ubiegłym roku ceramicy w Złocięcu wyprodukowali 80 tys. gotyckich cegieł, które zostaną wmurowane w warowne mury Malborka, katedry we Fromborku (gdzie kanonikiem był Mikołaj Kopernik) oraz kościoła katedralnego w Kamieniu Pomorskim. Technologię gotyckiej cegły opracował dyrektor zakładów p. Stanisław Polak wraz z p. Marianem Grochowskim.

● Dworzec na Pradze

W Warszawie oddano do użytku piękny, nowoczesny Dworzec Wschodni. Jest on przeznaczony do ruchu dalekobieżnego oraz — zagranicznego. Nowością jest hotel dzienny, gdzie podróżny może się wykapać, pójść do fryzjera, wyprasować i odczyścić ubranie, zdrzemnąć się itd.

● Cennik grzywien dla kłusowników

Szereg zwierząt żyjących w stanie dzikim jest w Polsce pod absolutną ochroną. Aby zabezpieczyć zwierzynę a odstraszyć kłusowników, ustalono bardzo srogi cennik grzywien dla amatorów nielegalnego polowania lub łowienia ryb. Oprócz przewidzianych kar aresztu, polski minister leśnictwa ustalił cennik grzywien. Najdroższy byłby dla kłusownika strzał do żubra — 100 tys. zł, a za niedźwiedzia 50 tys. zł. Aż 5 tys. zł kary przypada za zabicie puchacza, ptaka szczególnie pożytecznego, ta sama kwota za czapkę białą i purpurową oraz coraz radszego bociana czarnego. Także złowienie jesiotra zachodniego (kto jednak takiej sztuki dokona?) obłożone jest grzywną 5 tys. zł, obok kar aresztu i innych przykrych konsekwencji. Bóbr kosztowałby 30 tys. zł, podobnie górska kozica, a 10 tys. zł orzeł-bielik i orzeł przedni. Celem tych wysokich kar pieniężnych



● Galopem na eksport

Polska zachowuje starą sympatię do koni. Choć coraz więcej jest samochodów, motocykli, ciężarówek, ale koń ma jeszcze w Polsce zapewnioną egzystencję. Szczególnie zaś ten rasowy, wysoki materiał hodowlany. W kilku stadninach hoduje się piękne konie na eksport do Francji (najpiękniejsze ara-

by), do Szwajcarii, Skandynawii, Kanady, NRF, USA, Włoch i Libanu. Oczywiście Polska także kupuje dobre konie. Hodowcy zdecydowali się na zakup ogiera „St. Paldarm” za 30 tys. dolarów w W. Brytanii. Trzeba powiedzieć, że Rolls Royce wypadłby taniej.

● Pelugi na mazurskich jeziorach

Rybacy olsztyńscy poszukując możliwości zwiększenia rybostanu naszych jezior podjęli doświadczenia zmierzające do zaaklimatyzowania



Czego tam nie było? Była: śmierć z kosą, szczerząca zęby, różne maski — ni to turoń, ni to chochoły, był anioł z gwiazdą i diabeł z autentycznymi rogami (krowimi) i kozioł, i wielka gwiazda betlejemska, a wszystko na dorocznym przeglądzie kołędników w Będzinie, gdzie się oni zjeżdżają. Cóż to za gratka dla znawców prastarego folkloru!

w Polsce pelugi sprowadzonej ze Związku Radzieckiego, która należy do ryb łososiowatych. Wyglądem przypomina sieć i sielawę, z tym, że od sieci jest znacznie szersza. Charakteryzuje się ona wybornym smakiem i bardzo szybkim przyrostem wagi. Żywi się planktonem, a więc żeruje w strefie nie dość wykorzystywanej przez sielawę i sieję. Narybek tych cennych ryb syberyjskich wpuszczono w 1966 r. do trzech jezior państwowych gospodarstw rybackich w Ostródzie (Warmia). W czasie pierwszych połowów w grudniu ub. roku złowiono 300 kg pelug. Okazało się, że w ciągu dwóch lat małe palczaki wyrosły do wagi 1 kg. Sielawy tej wagi nie osiąga nigdy, sieję zaś dopiero po pięciu lub sześciu latach.



● W pierwszych dniach stycznia mieszkańcy Zabrze przeżyli niezwykle wydarzenie, gdyż na ziemi spadł śnieg, który był całkowicie czarny, co było spowodowane zanieczyszczeniami atmosfery.

● Mimo różnych groźnych informacji, jak dotąd nie stwierdzono w Polsce żadnych oznak epidemii grypy typu „Hongkong”.

● W ubiegłym roku polskie stożki wystawiały swoje modele statków na 13 międzynarodowych targach.

● Warszawska elektrociepłownia stawia nowy komin, który już jest prawie tak wysoki, jak Pałac Kultury i Nauki, więc ma ponad 180 m.

● Wśród rozwijających się kontaktów handlowych Polski z innymi krajami trzeba wymienić otwarczenie przedstawicielstwa 100-letniej firmy japońskiej Chori Company Ltd.

● Katowicki „Centrozap” podpisał nowy kontrakt z koncernem AMMI na prowadzenie robót górniczych przez Polaków na Sardynii.

● Najstarsze zabytki roślinne w Polsce, mieszczące się m. in. w Puszczy Kampinoskiej, a pochodzące jeszcze z epoki lodowcowej, zostały poddane ochronie.

● Polskie władze morskie zarejestrowały 500-nego oficera marynarki z uprawnieniami dowodzenia statkiem.

● Wzdłuż rzeki Odry zainstalowano „elektroniczne nosy”, które będą kontrolowały stan zanieczyszczenia wody i wskazywały sprawców.

● Na VII międzynarodowym festiwalu filmów dla młodzieży w Cannes „Grand Prix” otrzymał polski film „Żywot Mateusza”.

● W zabytkowym zamku w Szydłowcu (Kieleccyzna) urządzono piękny ośrodek kulturalny.



Narciarstwo stało się prawdziwie masowym, ludowym sportem w Polsce. W Szczyrku położonym niedaleko przemysłowego Śląska spotykają się ogromne tłumy narciarzy. Większość z nich czeka na wjazd wyciągiem krzesełkowym na szczyt Skrzycznego. Wydaje się jednak, że byłyby potrzebne trzy wyciągi, by w sobotę i niedzielę obsłużyć wszystkich miłośników białego szaleństwa

ROK 1968 W GOSPODARCE POLSKI

WOCENIE polskich działaczy gospodarczych rok 1968 uważany jest powszechnie za pomyślny. O trafności tej oceny w odczuciu społeczeństwa świadczy przede wszystkim wzrost sprzedaży detalicznej towarów na rynku wewnętrznym. Wzrost ten, liczony w cenach niezmiennych, wyniósł w ub. roku 8,5 proc. i nie miał sobie równego w całym bieżącym dziesięcioleciu; przy tym wzrost narastania wkładów oszczędnościowych ludności w PKO został utrzymany. W porównaniu z 1967 r. globalna produkcja przemysłowa zwiększyła się o prawie 9 proc. i osiągnęła wartość ok. 925 mld zł, produkcja rolna wyniosła 270 miliardów zł. Obroty w handlu zagranicznym wzrosły również do kwoty ok. 5.500 mln dol.

Struktura przemysłu

Przyjmując dla prawidłowego odczytania tych danych jako punkt odniesienia rok 1938, można powiedzieć, że obecna produkcja przemysłowa Polski jest 13-krotnie większa, a produkcja rolna (przy mniejszej o jedną czwartą powierzchni użytków rolnych) wzrosła prawie dwukrotnie. Zmienia się też zasadniczo struktura produkcji przemysłowej; w 1968 r. na przemysł maszynowy i chemiczny przypadało łącznie 38 proc. wartości globalnej, gdy w 1938 r. ok. 10 proc.

U progu bieżącej pięcioletki 1966-70 jako najpilniejsze do rozwiązania nasuwały się cztery problemy; były to: pełne zatrudnienie dla młodzieży z licznych roczników początku lat pięćdziesiątych; usunięcie, a co najmniej zmniejszenie napięcia w bilansie płatniczym z krajami zachodnimi; przyspieszenie wzrostu produkcji roślinnej, zwłaszcza zbożowej, gdyż niedostateczna wydajność z 1 ha hamowała rozwój hodowli i powodowała konieczność importu ok. 4 mln ton zboża rocznie; wreszcie — zapewnienie ludności, w związku z industrializacją Kraju przemierzającej się w szybkim tempie ze wsi do miast i ośrodków przemysłowych, odpowiednich mieszkań. Dla ilustracji problemu warto dodać, że gdy w 1938 w miastach mieszkało 30 proc. ludności Polski, to obecnie już ponad połowa. Miast liczących ponad 100 tys. mieszkańców jest już w Polsce 23.

Pierwszy ze wspomnianych problemów — praca dla tzw. „wyżu demograficznego” — jest już właściwie rozwiązany, bowiem liczba nowych miejsc pracy całkowicie pokryła za-

potrzebowanie. Stało się to możliwe dzięki inwestycjom sięgającym w 1968 r. 20 proc. dochodu narodowego. M. in. oddano w roku ubiegłym do eksploatacji kopalnię miedzi, największe w Europie.

Eksport

Zagadnienie większej płynności w bilansie płatniczym z wysoko rozwiniętymi krajami Zachodu należy do najtrudniejszych w gospodarce Polski. W latach ostatnich, a zwłaszcza w roku minionym, uczyniono wiele, by zwiększyć eksport Polski do tych krajów i jednocześnie poprawić jego strukturę na bardziej odpowiadającą przemysłowej strukturze produkcji.

W całości polskiego eksportu gotowe wyroby przemysłowe, maszyny i urządzenia oraz towary przemysłowe konsumpcyjne stanowią już ponad połowę wartości. Ale na niektórych rynkach Europejskiej Wspólnoty Gospodarczej, wobec stosowanych tam prohibicyjnych opłat wyrownawczych, eksport nawet tradycyjnych artykułów polskich cofa się, co wobec rosnącego wraz z industrializacją importu maszynowego utrudnia uzyskanie równowagi płatniczej. Nową próbą w tym kierunku jest zapoczątkowana w 1968 r. specjalizacja w produkcji eksportowej zakładów przemysłowych, których wyroby mają na tych rynkach szanse zbytu.

21 kwintali z hektara

Największym chyba sukcesem gospodarczym w 1968 r. pochwalić się może polskie rolnictwo. W 1967 r. plony czterech zbóż z jednego ha po raz pierwszy przekroczyły granicę 20 kwintali. W 1968 r. mimo znacznie mniej korzystnych warunków atmosferycznych wynik ten został podniesiony w skali Kraju do 21 kwintali z 1 ha. Dla tych, co pamiętają zbiory przedwojenne, wahające się np. w życie (w średniej wieloletniej 1928 — 1937) od 9,8 kwintala w Białostockiem do 14,5 q z ha na Śląsku, wynik ten mówi sam za siebie. Pozwoliło to na zmniejszenie importu zbóż z 4 mln ton do 1,6 mln ton w roku bieżącym.

Obok wysiłku samego rolnika i wyższego poziomu gospodarowania, decydującą rolę odegrała dokonana w ostatnich latach rozbudowa krajowego przemysłu nawozów

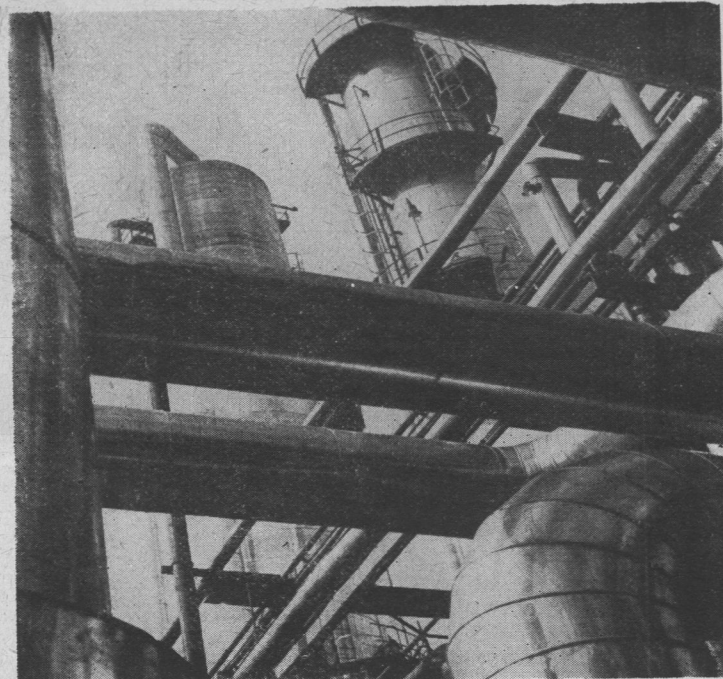
sztucznych. W 1969 r. po raz pierwszy rolnik polski wysieje na 1 ha użytkowanego gruntu ponad 100 kg nawozów sztucznych w czystym składniku.

Dochód narodowy

Dobre wyniki rolnictwa, jak i przemysłu sprawiły, że dochód narodowy w 1968 r. zwiększył się o 6 proc., a tzw. fundusz spożycia z dochodów osobistych o 5 proc. Pozwoliło to m. in. na poważną podwyżkę rent i emerytur pracowniczych. Na skutek znacznego wzrostu liczby zatrudnionych średni wzrost płac realnych — przy uwzględnieniu ruchu cen oraz podrożenia komunikacji miejskiej — nie przekroczył 2 proc. Jednakże dla większości ludności wzrost liczby pracujących członków rodziny był materialnie odczuwalny.

Zapewnienie dostatecznej ilości mieszkań nowo zakładanym rodzinom i ludności migrującej ze wsi do miasta nie jest także sprawą dającą się załatwić na poczekaniu. Organizacyjnie bardzo pozytywną rolę spełnia tu system mieszkaniowego budownictwa spółdzielczego, które w ostatnich dwóch latach wysunęło się na czoło. Problem tkwi jednak w konieczności zwiększenia dostaw materiałów budowlanych oraz dalszego uprzemysłowienia prac budowlanych. Inwestycje na te cele zostaną już w 1969 r. poważnie zwiększone.

Jan BRZESKI



Puławy to znaczy: więcej chleba

Nie bez przyczyny nazwa Zakładów Azotowych w Puławach, zwanych w skrócie „Azoty”, nieustannie przypomniana jest przez prasę krajową. Choć zużycie nawozów sztucznych na hektar ziemi uprawnej jest dziś w Kraju kilkakrotnie większe niż w okresie międzywojennym, ciągle jeszcze nie dorównuje ono poziomowi najbardziej rozwiniętych krajów świata.

Dlatego Polska, choć 45% jej ludności jest zatrudniona w rolnictwie, ciągle jeszcze importuje zboża chlebne i pastewne.

Stąd też budowa nowych kombinatów nawozów azotowych, fosforowych (jak Police) i potasowych, a także rozbudowa starych jest z wielką uwagą śledzona przez opinię krajową. Puławy są już „stare” — uruchomiono je w czerwcu 1966 roku. Rozbudowa trwa nadal. Ale już dziś Puławy dostarczają 44% krajowej produkcji nawozów azotowych, w postaci mocznika, saletry amonowej i wody amoniakalnej. Od chwili otwarcia zakłady wyprodukowały razem 830 tysięcy ton tych nawozów — ilość imponującą.

Dla ludności powiatu puławskiego zakłady stały się wielką szansą. Na 4430 zatrudnionych tu osób, jedna trzecia przyszła do pracy w przemyśle wprost ze wsi, znajdując wyższe zarobki i wyższy poziom życia kulturalnego.

A właściwie — najwyższy. Nie chodzi tylko o sprawy takie, jak możliwość korzystania z zakładowego Domu Kultury, kina i tak dalej. Zakłady Azotowe stały się powszech-

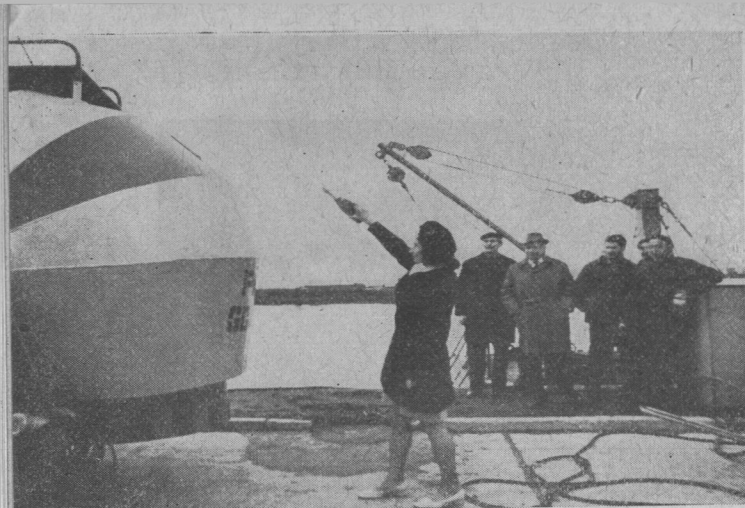
nie znanym w Kraju mecenasem sztuki. Co dwa lata odbywa się tu na ich koszt spotkanie artystów malarzy i rzeźbiarzy oraz krytyków i teoretyków sztuki. Artysty na miejscu tworzą nowe dzieła, które przechodzą na własność zakładów, krytycy odbywają dyskusje z autorami. Ale najważniejszą grupą dyskutujących są pracownicy zakładów. Oni właśnie spotykają się z autorami, oglądają prace, wypowiadają swoje sądy o sztuce i dziełach. Obie strony — artyści i robotnicy — są z tych kontaktów niezmiernie zadowoleni.

Wśród dyskutujących są oczywiście podpuławscy chłopcy czy raczej, jak się ich nazywa popularnie — „chłopo-robotnicy”. Wielu z nich przed podjęciem pracy przeszło przeszkolenie w podobnych zakładach w Kędzierzynie, Oświęcimiu czy Chorzowie, powracając do Puław jako wykwalifikowani pracownicy.

Puławy zatem to więcej chleba, ale także więcej kultury. (J)

Jedna z bram wejściowych na teren wielkich Zakładów Azotowych w Puławach

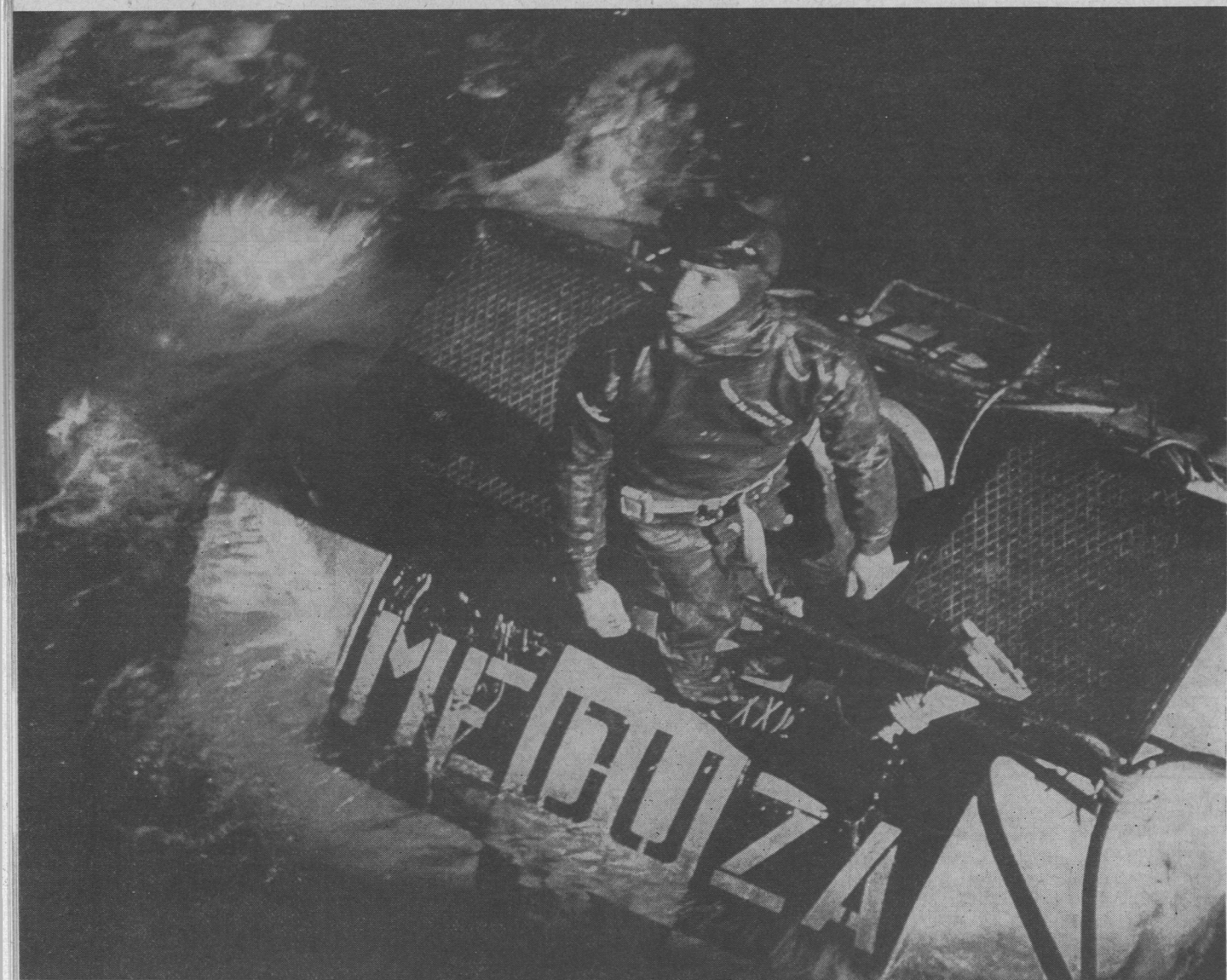




Chrztu morskiego dokonuje p. H. Dębska

Wzorem kapitana Causteau

PO SKARBY NA DNO BAŁTYKU



Władysław Szczepkowski w stroju pletwonurka asekuruje kabinę zanurzającą się w fale Bałtyku

Telefon — jedyny łącznik z tymi, co pod wodą



Zdjęcia: Stefan FIGLAROWICZ

„Meduza II” est longue de près de quatre mètres, large de plus de deux et haute d'un mètre quatre-vingt. Elle peut contenir trois personnes et descendre à plus de trente mètres sous l'eau, car „Meduza II” est une cabine sub-aquatique destinée à servir les chercheurs de trésors sous-marins. Car la mer cache pas mal de richesses, sans parler naturellement des poissons. C'est ainsi par exemple que grâce aux scaphandriers on a découvert il n'y a pas longtemps une péniche coulée dans le golfe de Swinoujście contenant pour plusieurs millions de cuivre pur; on a également renfloué plusieurs grands bâtiments de guerre allemands. On vient de découvrir un véritable champ d'algues rouges produisant de l'agar-agar (ingrédient indispensable pour l'industrie alimentaire et pharmaceutique) que jusqu'ici on importait du Japon et qui vaut son pesant d'or etc. etc. C'est pour cela que la marine polonaise a décidé, en suivant l'exemple des autres pays et en particulier celui du commandant Causteau, de construire „Meduza II”. Les habitants de cette bouée sous-marine avec confort moderne ont vécu plusieurs jours au sein du royaume de Neptune. Pendant une semaine ils ont travaillé sous l'eau, ils ont fait descendre leur habitacle à cinquante mètres pour savoir si sa coque était étanche et solide. Maintenant — „Meduza II” sera d'une grande utilité pour la réparation et la conservation des barrages et des écluses.

SPALENI słońcem, brodaci, czasem pływają na chybotliwych łupinach, niekiedy na statkach o najnowocześniejszym wyposażeniu: echosondy, radary, elektronika. Miesiącami wysiadują nad starymi, zatarzonymi mapami, latami poszukują właściwych miejsc w zatoczkach bezimiennych wysepek. Penetrują rafa koralowe tropikalnych mórz, odpoczywają w cieniu palm kokosowych.

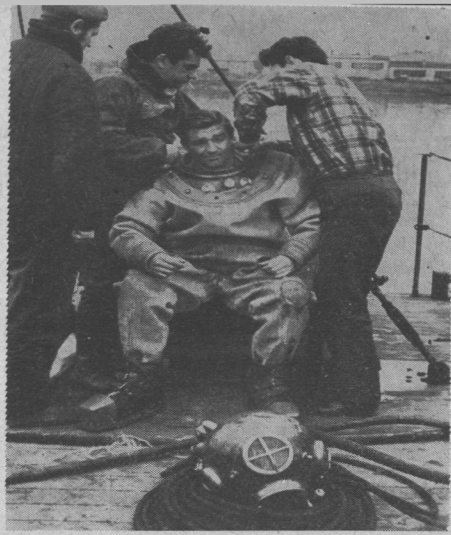
Poszukiwacze skarbów! Mają swój międzynarodowy klub w Paryżu. Niekiedy robią fortuny w ciągu kilku dni, częściej nie zdobywają nic. Szukają legendarnych skarbów pirackich na wyspach morza Karaibskiego, u wybrzeży Florydy; nurkują w wodach Atlantyku w akwenach dawnych morskich bitew, gdzie na dno poszły żaglowce wyładowane srebrem i złotem.

Takich skarbów na Bałtyku nie ma. Ale są inne, bezcenne dla gospodarki i dla kultury.

Czy Pani lubi agar-agar? Zapewne lubi, choć często o tym nie wie. Smakowite marmoladki owocowe dzemy, galaretki robione są z dodatkiem agaru — wyciągu z morskiego wodorostu, widlika czerwonego. Agar dzisiaj w przemyśle spożywczym coraz częściej zastępuje używaną dawniej żelatynę. Agar jest niezastąpionym składnikiem „perłowych” kremów kosmetycznych. Agar niezbędny jest do produkcji wielu szczepionek w farmaceutyce, służy bowiem jako pożywka do hodowli czystych kultur bakteryjnych.

Tak okazała wyglądała „Meduza II” w czasie pi





No to wchodzimy do środka...

Nurek Bogdan Bełdowski gotów!

J. Kuliński z dumą demonstruje godło Klubu Podwodnego „Posejdon”

Przez dziesiątki lat monopolistą produkcji agaru była Japonia. Widłik znajduje się bowiem w wodach Morza Japońskiego i tu od wieków jest eksploatowany. Kilkanaście lat temu rozpoczęli poszukiwania widlika Duńczycy w wodach cieśnin bałtyckich. Sukces badań był podwójny: nie tylko znaleźli cenny wodorost, ale okazało się przy tym, iż widłik bałtycki zawiera 30% agaru więcej niż japoński. A przed paru laty okazało się, że widłik czerwony wysiela grubą, kilkumetrową warstwę dna Zatoki Puckiej. Skarb cenny jak srebro i złoto, skarb dla gospodarki polskiej, której całe zapotrzebowanie na agar zaspokoić, pozostawiając jeszcze znaczne nadwyżki na dewizowy eksport! W ubiegłym roku przy pogłębianiu toru wodnego w Świnoujściu natrafiono na zatopioną podczas wojny barkę, załadowaną kilkuset tonami najczystszej, elektrolitycznej miedzi. Skarb dla przemysłu elektrotechnicznego i elektronicznego, stale gódnego najlepszej jakości.

Wejścia do polskich portów dawno oczyszczono z przeszkód, lecz na płytkich wodach przybrzeżnych Bałtyku, w okolicach Gdańska, Gdyni, Szczecina ciągle jeszcze leżą na głębokości kilkudziesięciu metrów wraki okrętów wojennych i statków transportowych z ubiegłej wojny. Tysiące ton najlepszej stali, skarby dla wielkich pieców hutnictwa.

W roku 1627, dwudziestego ósmego listopada, flota polska rozgromiła pod Oliwą blokującą Gdańsk silną eskadrę szwedzką. Na dno poszły liczne statki. Niedawno odkryto w ruchomych piaskach dennych koło Oliwy wraki drewnianych siedemnastowiecznych okrętów wojennych. Skarb dla historyków! Przed kilku laty podniesienie z dna fiordu sztokholmskiego równie starego okrętu stało się dla Szwecji wydarzeniem kulturalnym na skalę narodową. W Kraju zaś powstał już konkretny projekt wydobywania

jednego z wraków oliwskich, poddania go konserwacji i zabetonowania na wieczną rzecz pamiątkę u nabrzeża Motławy przed Żurawiem gdańskim.

Czemu tam? Bo w Żurawiu, bezcennym zabytku starej architektury, gdzie za niemieckich czasów mieściła się wytwórnia nocnych pantofli, znajduje się obecnie Muzeum Morskie i okręt oliwski byby dla niego sensacyjnym eksponatem.

I to wszystko będzie realne dzięki kilku okolicznościom. Dzięki wielkim poprzednikom, przecierającym podwodne szlaki. Dzięki zapaleńcom, którzy chcieli ich w Polsce naśladować. I dzięki światowej renomie kilku polskich przedsiębiorstw morskich.

W ROKU 1952 francuski komandor CAUSTEAU, dziś światowej sławy badacz krain podmorskich, postanowił zbudować swego „Diogenesa”. Był to cylinder stalowy długości 5 metrów i średnicy 2,5. W 10 lat później zanurzył się w nim w Morzu Śródziemnym na głębokość 20 metrów. Wraz z drugim towarzyszem przemieszkał w tej kabynie przez tydzień. W rok później w kabynie „Rozgwiazda” zamieszkało na dnie morskim już pięciu badaczy. A później przyszły liczne badania francuskie, radzieckie, amerykańskie. O akwonautach nakręcono cudowne barwne filmy. Zawędrowały one także na polskie ekrany.

Czy film był pobudką, czy artykuły w prasie fachowej? Trudno dziś dojść, nawet samym zainteresowanym.

Pierwsze o nich wieści pojawiły się w prasie krajowej nie tak dawno temu. Czas: rok 1967. Miejsce: jezioro Kładno koło Chmielna, ściślej: 24 metry pod jego powierzchnią. Tam przez pełny tydzień w prymitywnym, skleconym domowymi sposobami domku podwodnym przemieszkał: technik Antoni DEBSKI z Przedsiębiorstwa Robót Czerpalnych i Podwodnych oraz mgr inż. Aleksander LESSAUD ze Stoczni im. Komuny Paryskiej w Gdyni.

Trochę na nich wydziwiano przy okazji. No, bo jakże — w takiej „zardzewiałej beczce”, zaledwie z asekuracją przyjaciół-pletwonurków prowadzić ryzykowny dla życia i zdrowia eksperyment?

Ich obroną był ich sukces. A domek nazywał się „MEDUZA”.

Istota rzeczy polega na tym, że domek, a nie kabina. Różnego typu kabiny hermetyczne, stałe lub pływające o własnym napędzie, znane są od dawna. Batysfery, batyskafy, mezoskafy — pływali na nich i pływają pod wodą, lub odbywają badania w nieruchomych tacy stalwini uczeni jak Szwajcar prof. Jacques Piccard czy William Beebe — jeszcze od lat 1930-tych. Piccard swego czasu na pokładzie batyskafu osiągnął największą głębokość, którą spenetrował żywy człowiek — 11 kilometrów w głąb Pacyfiku.

Pod ochroną grubych stalowych płyt i grubych, z pancernego szkła specjalnie topionego, okien. Na tę głębokość można się w batyskafie zanurzyć. Nigdy — wyjść z niego. Ciśnienie wody zmiażdży ludzkie ciało na tej głębokości w ciągu ułamka sekundy.

Czy nam ziemia za ciasna? Czy może jest właściwością człowieka, że zawsze myśli o niemożliwym, marzy o nim i w końcu je realizuje. Kiedyś powieterze było dla ludzi żywiołem zakazanym. Jeszcze dwa pokolenia temu...

Marzenia dzisiejsze: człowiek chce zamieszkać pod wodą. A nawet w samej wodzie! Nonsens?

W roku 1961 uczony holenderski profesor KYLSTRA przeprowadził pomyślnie próby, które zdumiały świat. Zwierzęta ciepłokrwiste, oddychające płucami, mogą żyć w wodzie, mogą nią oddychać! W odpowiednich warunkach żyły w wodzie przez kilkanaście godzin i oddychały nią myszy i psy. Prof. Kylstra przygotowuje podobne doświadczenia z ludźmi.

Z ludźmi, którzy bez skafandrów i bez akwalungów jakimi dziś posługują się pletwonurkowie, będą zanurzać się w morze, oddychać wodą, poruszać się swobodnie — i pracować. 71 procent powierzchni kuli ziemskiej zajmują morza. Glony morskie są jadalne, mało tego — są wysokowartościowym pożywieniem, obfitującym w białko i tłuszcz. Jeden z takich glonów — chlorella — ma być hodowany na pokładach statków kosmicznych. Ale w morzu, w zwykłych warunkach z fermy podmorskiej uzyskać można 150 ton glonów rocznie z hektara. Bez nawożenia, bez orki, bez siewu.

Z chlorelli — jarskie befsztyki. Z widlika — agar. Z morskczynu — jod i inne cenne leki. W oceanach czeka na ludzkość bogactwo. Nie mówiąc już o stałej podmorskiej hodowli ryb czy wielorybów, o eksploatacji bogactw dna morskiego.

Latanie też było fantazją za czasów Jules Verne'a... Ale zanim badania profesora Kylstry wejdą w fazę ostateczną, trzeba już stworzyć warunki dla pracy pod wodą. Na razie środkami tradycyjnymi, w skafandrach ciężkich lub w lekkich strojach pletwonurków.

I tu właśnie pojawiają się na widowni przedsiębiorstwa. Dwa z nich szczególnie zainteresowane. Przedsiębiorstwo Robót Czerpalnych i Podwodnych oraz Polskie Ratownictwo Okrętowe. Oba słynne na cały świat. One to, na zagraniczne zamówienia dokonują prac takich, jak: budowa całych portów czy poszczególnych ich basenów i torów. wydobywanie wraków z dna, roboty zabezpieczające.

A także golenie bród. Tak to się nazywa. W czasie długich rejsów, szczególnie w ciepłych morzach, dna statków pokrywają długie brody wodorostów. W nich osiedlają się morskie małże, krewetki, drobne żyjątka. Wszystko razem tworzy splecioną masę, wyraźnie zmniejszającą szybkość statku. Pobyt w suchym doku dla zgolenia takiej morskiej brody kosztuje bardzo drogo. Taniej prace wykonują pletwonurkowie. W Kraju jest kilka klubów entuzjastów podwodnych przygód, wśród nich „Neptun” w Gdyni i „Posejdon” w Gdańsku. Ich członkowie zarabiają pracami podwodnymi na drogi sprzęt do nurkowania, na wydatki klubów. Oto skromna część listy prac pletwonurków: — wydobywanie spod wody wiekszych obiektów (np. pletwonurkowie z „Neptuna” w r. 1961 wydobyli z dna jeziora Mamry niemiecki samolot „Junkers 188”, który leżał tu od wojny);

- badanie i inwentaryzacja zatopionych obiektów;
 - naprawa urządzeń podwodnych;
 - konserwacja i remont śliz i bram przeciwpowodziowych;
 - przeglądy i odmulanie turbin podwodnych;
 - układanie kabli pod wodą;
 - badania archeologiczne;
 - wydobywanie z dna jezior zatopionych bali dębowych czyli tak zwanych debów wodnych, bardzo drogiego materiału do produkcji luksusowych mebli.
- Podobne prace wykonują nurkowie w skafandrach, tyle, że na większych głębokościach. I tu właśnie zaczyna się najważniejsze.

wszych prób na wodach Martwej Wisły, w której odbijają się sylwety gdańskich budowli



A prendre et à laisser

MIEUX ON SE CONNAIT...

Les journalistes en Pologne jouent un rôle qui souvent dépasse les prérogatives et les obligations de la profession. Comme me le disait un de mes amis, journaliste dans un grand quotidien de la capitale polonaise, il ne lui suffit pas d'informer l'opinion publique sur les événements en cours tant à l'échelle nationale qu'à celle du globe — et il s'en passe des événements — il doit également faire face aux exigences des lecteurs qui, grâce à l'essor des moyens d'information, sont de mieux en mieux informés et désirent en savoir plus sur les coulisses des grands faits politiques et autres. Le journaliste en Pologne n'est pas seulement responsable face à sa rédaction, il l'est également, et peut-être en premier lieu, face à ses lecteurs qui exigent de lui une information de plus en plus complète, objective, sérieuse et documentée. D'autre part, les lecteurs veulent de temps à autre, et à vrai dire le plus souvent possible, prendre directement contact avec celui dont la profession et la vocation est de les informer. C'est pourquoi il n'est pas rare en Pologne de voir des journalistes spécialisés dans les questions économiques ou ayant trait aux relations internationales faire des voyages de plusieurs jours les menant dans tous les coins et recoins de Pologne, dans les petites villes où tout le monde pense que personne ne s'intéresse à la „grande politique”. Rien de plus faux — les habitants des petites agglomérations se rendent parfaitement compte que ce qui se passe aujourd'hui en Asie ou en Afrique, ou encore dans n'importe quel pays de notre continent peut avoir et souvent a une importance primordiale pour leur destinée. Un coup d'Etat réactionnaire, un renversement des alliances même entre Etats relativement peu importants, une dépression économique peuvent influencer sur le développement de l'ensemble de notre globe, souvent décident de l'accroissement ou de la diminution de la tension à l'échelle des continents et des nations.

A l'heure actuelle, la presse joue un rôle essentiel dans le développement des relations entre les pays. Grâce à elle, grâce aux journalistes le commun des mortels en sait beaucoup plus aujourd'hui que bien des monarques d'hier. Et il veut en savoir de plus en plus. C'est pourquoi il tient à rencontrer les professionnels de l'information non seulement afin d'en savoir encore plus, mais également pour procéder à un échange d'opinions. Car il se rend compte qu'il n'est plus uniquement un consommateur de l'information, il en est un des créateurs. Son travail, sa vie quotidienne, en un mot l'ensemble de son activité influe sur le développement de son propre pays, donc sur le développement de l'humanité. Le lecteur de la presse, l'auditeur ou le téléspectateur veut mieux comprendre ce qui se passe autour de lui. Mon ami journaliste, arrivé de Pologne pour un bref séjour à Paris, me racontait avec force détails le déroulement de plusieurs rencontres avec ses lecteurs dans des petites villes du nord-ouest de Pologne. Il n'aurait jamais cru que des ouvriers, des ménagères, des élèves des écoles secondaires, des jeunes agriculteurs puissent s'intéresser d'aussi près à ce qui se passait en France (mon ami se spécialise dans les questions françaises). On lui posa toute sorte de questions relatives à la situation économique en France — la rencontre avait lieu quelques jours après la crise et tout le monde se demandait si le franc serait dévalué; au rôle des partis politiques dans la vie française; à la politique internationale de la V République; au rayonnement culturel de la France etc. Les Polonais avec lesquels mon ami avait pris contact posaient et se posaient une quantité de questions concernant l'avenir de la France. Tous étaient unanimes dans leur admiration de la personnalité et du génie du général de Gaulle. Pour beaucoup il personnifiait la France telle qu'elle est. Il était remarquable de constater comment étaient informées les personnes présentes, quelle était la quantité d'informations dont elles disposaient. De retour à la rédaction, mon ami se posa une question, et il se la pose encore, à savoir si le Français moyen est aussi bien informé sur ce qui se passe ailleurs (on ne peut naturellement exiger de lui qu'il se passionne pour les événements polonais car le poids n'y est pas). Il ne fait aucun doute en effet que plus on est informé, mieux on se connaît. Et mieux on se connaît, plus on s'aime. Cette vérité première semble être pleinement prouvée par l'amour (réciproque d'ailleurs) unissant les Polonais à la France.

GAL

C'est la vie

POUCZAJĄCY PROGRAM

Warszawski Teatr Kameralny wystawił ostatnio sztukę Aleksandra Scibora-Rylskiego pt. „Bliski Nieznajomy”. Jest to tak zwana sztuka „życiowa”. Słowem — rzecz w niej o rozwodach. Aby widzów całkowicie porządzić, dyrekcja teatru zamieściła w programie fragment pracy Głównego Urzędu Statystycznego pt. „Przyczyny rozwodów”. Tak więc publiczność ma możność śledzenia nie tylko perypetii dwojga bohaterów, ale studiowania (w antraktach) przyczyn, które doprowadzają do rozwodów.

NIESPODZIANKA

20-letnia Stefania L. z Rudy Śląskiej nawiązała 2 lata temu przy pomocy czasopisma „Radar” kontakt listowy z pewnym gdańszczaninem. W umówionym dniu spotkania zjawił się w jej mieszkaniu — zamiast znanego jej z fotografii — obcy mężczyzna, wyjaśniając, że korespondent ma 59 lat, a on jest jego synem i chętnie zrealizuje słowo dane przez ojca. Ślub młodej pary doszedł do skutku...

OFIAR NIE BYŁO...

Mieszkańców jednego z domów przy ulicy Kochanowskiego w Katowicach postawili na nogi odgłosy do złudzenia przypominające wystrzały. Obawa okazała się przedwczesna. Była to eksplozja spowodowana zruśnięciem do pieca przeterminowanych ampułek z zastrzykami witaminy „C”. Tym razem ofiar nie było!

POLSKA ROŚNIE

Jak wykazały badania prowadzone przez Instytut Geodezji i Kartografii w Warszawie, na terenie Polski obserwuje się ruchy górotwórcze. Stwierdzono m. in. że niektóre obszary Polski podnoszą się, zaś inne ulegają obniżeniu. Najszybciej wznosi się obszar północnego Mazowsza w rejonie Miawy i część Lubelszczyzny na południe od Zamościa. Tereny te „rosną” w tempie 1,5 mm rocznie. Nieco wolniej, bo z szybkością 1 mm rocznie, podnosi się pozostała część Mazowsza i Nizina Podlaska. Obniża się natomiast o 1 mm rocznie Pomorze Zachodnie i cała dolina Odry. Ruchy te, niezwykle powolne mogą jednak zmieniły krajobraz Polski za 100 tys. lat! Obok ruchów pionowych, występują także przesunięcia poziome — m. in. „wedruje” na północ masyw Karpat!

„TRENING”

U wylotu ulicy Stalowej w Chorzowie Batorem dwóch mocno „ustawionych” młodzieńców walato się w błotku, okładając się nawzajem pięściami. Kiedy jeden z przeciwników rozdzielił bijących się, ci zgodnie wycałnili z zadowolonej legitymacji członkowskiej sekcji zapasniczej pewnego klubu sportowego i grzeźnie poprosili interweniującego, by nie przeszkadzał im w „treningu”, po czym od nowa wzięli się za tby.

OBIADEK „NA STO DWA”

W rudzkiej restauracji gość, otrzymawszy zamówiony obiad, podziękował kelnerce i dodał: „Jeszcze uśmiech szanownej pani i już obiadek będzie „na sto dwa”. Kelnerka była bardzo uprzejma, uśmiech zaserwowała, ale zbyt

gwaltownie — razem ze sztuczną szczyką, która wylądowała na kotlecie.

GAD NA STOLE OPERACYJNYM

We wrocławskim ogrodzie zoologicznym przeprowadzono niedawno ciekawą, a przy tym niebezpieczną dla... medycy operację chirurgiczną. Na stole operacyjnym znalazła się jadowna zmija lewantyńska. Od pewnego czasu gad ten zaczął niedomagać. Nie chciał przyjmować pokarmów i czuł się osowiały. W wyniku przeprowadzonych badań lekarskich stwierdzono, że w pobliżu gruczołu jądowego waży posiada dużą narosłość, której nieusunięcie grozi niechybną śmiercią. Największą trudnością było ułożenie dwumetrowej długości gada na stole operacyjnym. Personel ZOO, który asystował lekarzowi przy operacji, musiał zastosować specjalne środki ostrożności. Zarówno lekarz, jak i służba pomocnicza przywdziali ubrania ochronne, długie rękawice oraz okulary. Zmija ułożona na stole przy pomocy specjalnie skonstruowanych szczypek. Do pyska wpakowano grubą tamponadę, który miał zabezpieczyć przed tryskami śliny. Przy operacji zastosowano tylko znieczulenie miejscowe, ponieważ gady nie reagują na narkozę. Operację przeprowadził dyrektor ZOO dr Antoni Gućwiński. Trwała ona przeszło godzinę. W czasie zabiegu okazało się, że zmija trzeba usunąć jeden gruczoł jądowy. Mimo niespokojnego zachowania się pacjenta, operacja się udała. Narosłość usunięto. Pacjent odzyskał siły, poprawił się także jego apetyt.

NAJSTARSZY MISTRZ PATELNI

W stupskich zakładach gastronomicznych pracuje jeden z najstarszych mistrzów patelni w Polsce. Jest nim 71-letni Jan Czarniecki, pracujący w zawodzie kucharz od roku 1911. Praktykę zaczął w jednej z znanych przed I wojną światową restauracji berlińskich, później pracował w kasynie oficerskim 21 pułku ułanów, następnie aż do 1945 w najlepszej restauracji lwowskiej. Po wojnie osiedlił się w Stupsku, gdzie wstawił znakomitą kuchnię restaurację „Metro”.

LEPIEJ PÓZNIJ NIZ... WCALE

Znany piotrkowski pedagog, polonista mgr Stanisław Strychalski otrzymał ostatnio niecodzienną przysyłkę pocztową. Jeden ze starych przyjaciół wrzucił mu książkę, poświęconą... 50 lat temu!

POKUTUJĄCY DUCH

W Kochłowicach przy ulicy Thaelmana dwie kobiety wracające późnym wieczorem do domu natknęły się na „ducha” odzianego w długą białą szatę i śpiewającego pod przydymnym krzyżem nabożną pieśń. Przestraszone, narobiły tyle urzawy, że obudziły kilku mieszkańców okolicznych domów, którzy odważnie ruszyli na poszukiwanie „ducha”. Rekonesans wypadł dobrze: w duchu rozpoznano znaną w okolicy alkoholicką „korta” odzianą w długą nocną koszulę odprawiała pod krzyżem swą nocną pokutę.

KŁOPOTLIWE PYTANIA

zadaje swym czytelnikom „Trybuna Robotnicza”:
POTRZEBA JEST MATKĄ WYNALAZKÓW, a kto jest ojcem?

PO SKARBY NA DNO BAŁTYKU

Dokończenie ze str. 13

Płetwonurek może przebywać pod wodą maksimum 2,5 godziny. Nurek w skafandrze — opuszczający się na głębokość 45 metrów, może tam przebywać tylko 25 minut na dobę, tracąc z tych minut wiele na rozeznanie terenu, komunikowanie się z bazą i inne czynności pomocnicze. A gdyby miał sprzyjające warunki, mógłby pracować 6 godzin na dobę bez szkody dla zdrowia.

Sprzyjające, to znaczy w terminologii technicznej — właściwą kompresję i dekompresję. Właściwe, rozłożone w czasie zwiększanie ciśnienia, czyli opuszczanie się na dno i wynurzanie się, podczas którego ciśnienie się zmniejsza. A te sprzyjające warunki stwarza urządzenie, którego nazwa oficjalna brzmi: „samodzielną kabina dla nurków”, czyli po prostu „Meduza II”. Ma długość 3,6 metra, szerokość 2,2 m, wysokość metr osiemdziesiąt, wyporność 10 ton. Mieści wygodnie 3 osoby, w razie nagłej potrzeby nawet i pięć. W środku dwa wygodne miejsca do spania, umywalka, urządzenia sanitarne. Własne oświetlenie i ogrzewanie. Łączność radiotelefoniczna z powierzchnią oraz z nurkami. Wejście od dołu wprost z wody, która jednak nie wleje się do środka, tak jak nie wleje się do odwróconej dnem do góry szklanki. „Meduza II” opuszcza się na dno lub odpowiadając głębokość sama, sama też może się wynurzyć. Jednym słowem podwodny domek, gdzie można mieszkać, spać, jeść, umyć się, wyjść pod wodę do pracy, powrócić i odpocząć.

W tych warunkach nurkowie mogą przebywać — długo i zdrowo.

Szło o sprawdzenie, jak długo.

BYŁO TO NA WODACH Zatoki Gdańskiej. Holownik Polskiego Ratownictwa Okrętowego „Koral” stanął mocno na czterech kotwicach. Dźwign wolno opuścił „Meduzę” na powierzchnię. Po chwili weszła w zanurzenie. W jej wnętrzu znajdowali się: konstruktor Antoni Dębski, mgr in. Jerzy Kuliński i Bogdan Beldowski.

Dwaj pierwsi to nie tylko konstruktorzy, ale i dowódcy płetwonurkowie. Beldowski jest zawodowym nurkiem z Polskiego Ratownictwa Okrętowego. Jego największy wyczyn miał jednak miejsce nie na morzu, lecz pod ziemią. Dwa lata temu w kopalni miedzi w Lubinie na głębokości 475 m do szybu wdarła się woda. Biła z taką siłą, że jej strumień przecinał stalowe liny. Przez trzy kolejne dni Bogdan Beldowski schodził w głąb zatopionego szybu, aż znalazł sposób usunięcia awarii. I opanował wodę.

Tego dnia Zatoka Gdańska była burzliwa. Pogoda szormowa. Lecz zdecydowano nie przerywać prób. W mroku późnego wieczora z wolna zanurzała się kabina, malowana w czarne i żółte, jaskrawe pasy. Otaczali ją odziani w gumowe skafandry ludzie — żab płetwonurkowie z grupy asykuracyjnej: współtwórcy „Meduzy” inż. Lasaud, inż. Leszek Suchy, stoczniovec Władysław Szczepkowski i przybyły specjalnie z Łodzi Antoni Zychliński. Prócz nich piątka filmowców z wodoszczelnymi kamerami podwodnymi, wśród nich redaktor Andrzej Ziemiński, którego zdjęcie znajduje się na naszej okładce.

Po wielogodzinnym ostrożnym zanurzeniu „Meduza” stanęła na przewidzianej głębokości 24 metrów. Zaś jej mieszkańcy przystąpili do pracy. Mieli rozpoznać wrak poniemieckiego trałowca, zatopionego tu na głębokości 40 metrów. Zbadali, okazał się tak przerdzewiały, że nie warto go wydobywać.

Sześć dni i siedem nocy przebywała „Meduza” pod powierzchnią morza. Oczywiście nie cały czas grupy badawczej wypełniony był pracą. Jedli, spali, nawet grali w karty. Odwiedzali ich po kilka razy dziennie koledzy-płetwonurkowie dowożąc w wodoszczelnych koniach gorące posiłki. Bez przerwy kontrolował ich stan zdrowia lekarz przez założony w tym celu telefon.

Przez telefon też rozmawiali z rodzinami, z redakcjami gazet. Pan Antoni Dębski powiedział:
— Znakomicie żyje się pod wodą! Cisza, spokój

i sceneria jak w fantastycznej bajce. Nocą snują się wokół naszego domku jakieś niesamowite refleksy. Świecą w toni oczy jakichś ryb, błyskają fosforyzujące zwierzątka, dochodzą światła z dna wody i układają się dziwacznie. To wszystko jest piękne. W dzień na 25 metrach w głębi jest zupełnie widno. Przez okna widzimy zielonkawą rośliny snujące się jak pajęczyny, czasem przemknie ławica ryb, a czasem widzimy spadające z „Koralu” obierki z kartofli — znak, że obiad niedługo. Apetyty mamy uspaniałe, im dłużej jesteśmy pod wodą, tym lepiej się czujemy. Codziennie nurkujemy na głębokość 40 metrów do zatopionego wraku. Po powrocie ze spaceru zdejmujemy skafandry i czujemy się, jak w zacisznym domku. Stale mamy łączność telefoniczną z „Koralem”, przyjmujemy odwiedziny płetwonurków, słuchamy muzyki z radia. No — i ciężko pracujemy, tyle, że w bardzo dogodnych warunkach.

Wynurzanie się trwało 22 i pół godziny. Co trzy metry kabina zatrzymywała się na długi postój. To właśnie jest owa dekompresja — stopniowe przyzwyczajanie organizmu nurka do zmniejszającego się ciśnienia. Nagle wynurzenie bowiem to śmierć od groźnej „choroby kesonowej”. I przed nią podwodny domek chroni całkowicie.

Na powierzchni czekały akwonautów kwiaty, uściski od żon, radość kolegów. I perspektywy dalszych sukcesów. Bowiem na kadubie „Meduzy II” widnieją litery „PRC” — skrót nazwy Przedsiębiorstwa Robót Czerpalnych i Podwodnych. Ta druga Meduza to już nie była „zardzewiała beczka”, lecz doskonale wykonany w warsztatach na zlecenie PRC podwodny dom. Kosztował śmiesznie niską cenę, jak na taką konstrukcję — około 250.000 złotych. Rysuje się już możliwość dalszej ich produkcji, nawet na eksport. Eksperymenty i prace nie ustają. W przyszłym sezonie „Meduza II” użyta będzie do konserwacji zapory wodnej w Solinie na głębokości 50 metrów. A następnie, do pracy na większych głębokościach, powstanie „Meduza III”. Bowiem obecność człowieka pod wodą to sprawa nie mniejszej wagi, niż obecność w kosmosie. A polscy badacze zajmują w tych pracach zaszczytne miejsce.

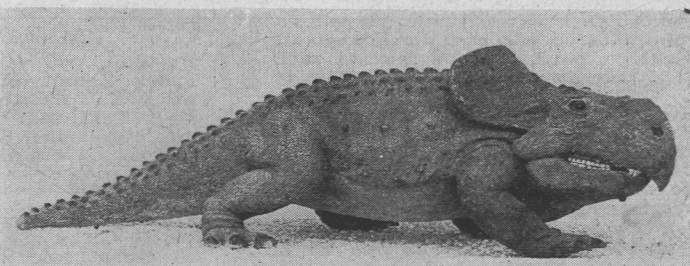
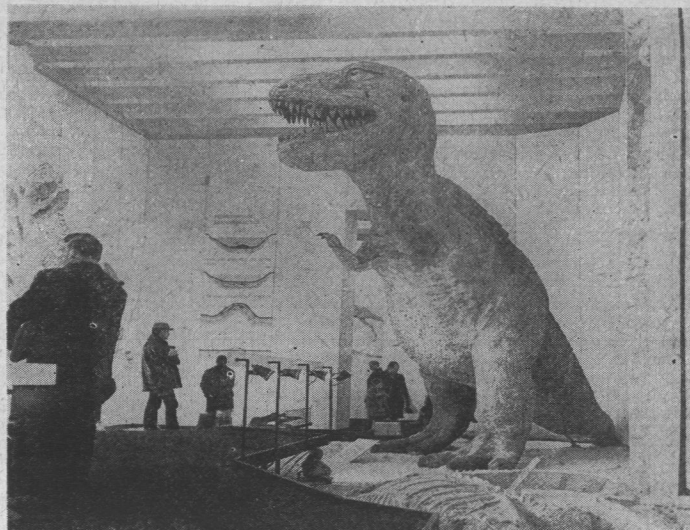
J. GARZTECKI

LES MONSTRES DE GOBI

AU cours des années 1963, 1964 et 1965, plusieurs expéditions paléontologiques organisées sur l'initiative de l'Académie polonaise des sciences et avec l'accord du gouvernement de Mongolie ont voyagé à travers le désert de Gobi et fouillé ses profondeurs afin de mettre à jour les restes relativement bien conservés de monstres préhistoriques pouvant intéresser les musées d'histoire naturelle de Pologne et de Mongolie. C'est ainsi que les paléontologues venus de la Pologne lointaine ont mis à jour des squelettes de dinosaures carnivores — les plus grands de l'espèce — atteignant 14 mètres de longueur et 6 mètres de hauteur. Les dents de ces monstres sont aussi aigües que des poignards, et elles ne sont pas des moindres — pour se faire une idée de leur longueur, il suffit de dire qu'elles sont enchâssées dans un crâne de près d'un mètre et demi de longueur.

Mme Zofia Kielan-Jaworowska relate dans un article consacré aux travaux de l'expédition une découverte de taille: „Parmi les trouvailles possédant une grande valeur scientifique, citons les squelettes d'Ornithomimus (le plus sveltes des monstres que nous présentons), dinosaures de taille relativement petite. C'étaient des reptiles ressemblant à des oiseaux coureurs, un peu comme l'autruche. Les plus grands atteignaient 5 mètres. Les Ornithomimus avaient une petite tête, des mâchoires édentées, formant un bec et de longs membres supérieurs”.

Les squelettes et des reconstructions à partir de ceux-ci ont été exposés au Palais de la Culture de Varsovie. Dès le premier jour il y eut foule. D'ici peu on prévoit un changement de décor — on présentera au public une autre collection de monstres de la même époque.



LE DRAGUEUR TROP BAVARD

LE CHRONIQUEUR judiciaire du quotidien du soir de Varsovie „Express Wieczorny” a publié un compte-rendu qui a fait sourire ses lecteurs. Certains en ont tiré des conclusions qui pourraient s'avérer utiles à l'avenir. Voici en bref l'histoire telle qu'elle a été présentée.

Dans le box des accusés, on voit apparaître un personnage dont la physionomie jure avec l'entourage — cet homme ne pourrait pas faire de mal à une mouche. Une véritable personification du „Père Tranquille”. Et pourtant...

Cela se passait la veille des dernières fêtes de Noël. J'étais dans mon taxi, quand le type à cause duquel j'ai tous ces ennuis me demanda de me rendre chez le fleuriste le plus proche. Après avoir acheté un petit sapin de Noël et un bouquet d'oeillets, il me demanda d'aller dans un magasin „Delikatesy” où il entra pour ressortir presque aussitôt avec un grand panier plein d'oranges, de chocolats et d'autres bonnes choses encore.

Alors, il me dit d'aller rue S., au numéro 15. Ça m'arrangeait drôlement, car justement j'habite cette rue et même la maison que mon client m'indiquait. Comme il faisait froid, je pouvais aller prendre un bon verre de thé... Bon, bon, je reviens à l'affaire, moi, ce que je disais, c'était pour mettre le tribunal dans l'ambiance... En cours de route, mon client, qui était légèrement paf, se mit à me raconter sa vie... Il me dit qu'il allait chez son ancienne camarade d'école qu'il avait rencontré par hasard quelques jours auparavant. Elle était mariée, mais ça ne faisait rien, car les maris sont faits pour être cocus. Les petits cadeaux entretiennent l'amitié; ce qu'il avait dans les bras, c'est de l'investissement, car après les fêtes il avait bien l'intention de mettre à profit d'une manière plus concrète la rencontre qu'il avait fait par hasard... Moi, ça ne m'intéressait pas tellement

● EN BREF DE POLOGNE ● EN BREF DE POLOGNE ●

● La première greffe de cœur a été effectuée en Pologne il y a quelques semaines à la clinique de l'Académie de Médecine de Łódź. Trois heures après l'opération, le patient décéda en raison d'une mauvaise circulation du sang. Les chirurgiens polonais sont cependant convaincus que la prochaine greffe sera couronnée de succès.

● Le film polonais „La vie de Mathieu” s'est vu décerner le grand prix du festival international du film pour la jeunesse de Cannes.

● La Croix-Rouge Polonaise célèbre cette année le cinquantième de sa fondation. Cette organisation compte à l'heure actuelle plus de cinq millions de membres.

● Le nom le plus populaire dans la capitale polonaise n'est pas, comme on pourrait le croire, Kowalski. La première place revient aux personnes se nommant Dąbrowski — elles sont six mille cinq cents tandis que les Kowalski — deux mille de moins.

● Le Conseil des ministres de la République Populaire de Pologne vient „d'élever le grade” de plusieurs agglomérations polonaises en leur accordant le titre de ville. Il s'agit des cités de Łochów, Wesola, Laskarzew, Kobyłka,

Podkowa Leśna, Chełmek, Li-biąż, Sułkowiec, Bardo, Zawitów, Czerwieńsk, Małomice, Kunice Zarskie, Łęknica et Łagisza. Depuis 1954 la Pologne a 122 nouvelles villes dont le total atteint le chiffre de 834.

● C'est avec stupeur que l'opinion publique polonaise vient d'apprendre que la Police ouest-allemande procède à des exercices de combat de rues à partir des expériences acquises par la gendarmerie hitlérienne au cours de l'insurrection de Varsovie.

LE CINQUANTAIRE DE LA MORT D'APOLLINAIRE

Le cinquantième de la mort de Guillaume Apollinaire a été commémoré en Pologne de diverses manières. Plusieurs rééditions de poèmes de l'auteur des „Calligrammes” ont fait leur apparition aux devantures des librairies; l'Union des gens de lettres de Pologne a organisé des soirées commémoratives au cours desquelles les écrivains et les poètes les plus éminents de la littérature polonaise contemporaine ont rendu un hommage des plus fervents à celui qui, aux côtés de Chopin et de Marie Curie-Skłodowska, a le mieux symbolisé la communauté spirituelle unissant, d'ailleurs réciproquement, la Pologne à la France; enfin la revue spécialisée „Prze-gład Humanistyczny” a publié un numéro spécial entièrement consacré à l'oeuvre et à la vie d'Apollinaire.



Ce numéro s'ouvre sur un essai de Stefan Zeromski, écrit en 1923, sur „le poète de grand talent Kostrowicki”. Nous trouvons ensuite une excellente traduction polonaise de deux „Manifestes” d'Apollinaire et une étude d'Anatol Stern consacrée aux origines de Guillaume Apollinaire-Kostrowicki. L'auteur tient compte des diverses versions concernant la naissance du grand poète, cependant il penche pour la conception plus ou moins fantastique que lui-même lance depuis un certain temps sur l'origine „napoléonienne” d'Apollinaire (suivant Anatol Stern, le grand-père de l'auteur d'„Alcools” n'aurait été tout simplement que l'Aiglon!). Les autres articles de ce numéro „apollinarien” sont consacrés à l'influence de l'oeuvre d'Apollinaire sur la poésie polonaise d'hier et d'aujourd'hui. Parmi les quelques illustrations publiées dans ce numéro, on trouve une reproduction du blason des Kostrowicki que nous nous permettons de présenter à nos lecteurs.

FOTOGRAFOWAŁ: Erazm Ciołek



Le tribunal ne voulut pas se mettre à la place du chauffeur du taxi. Par contre il informa les jurés que le dragueur trop bavard et trop paresseux pour se rendre lui-même chez son ancienne camarade de classe avait été malmené de telle manière que son visage était couvert d'ecchymoses décrites par le médecin légiste comme „trois ecchymoses de la grandeur d'une pièce de deux zlotys et deux ecchymoses de la grandeur d'une pièce de cinq zlotys”. Le chauffeur fut condamné à une amende de deux mille zlotys.

Il commenta amèrement la décision du tribunal: „Y a pas de justice! Pour seize zlotys de gçons, j'en paye deux mille...”

Władysław Umiński

ZNOJNY CHLEB



Syn poznańskiego stolarza, Sobiesław Mrocki z zaboru pruskiego, po szkole podstawowej uczył się w gimnazjum. Naukę jednak przerwał dramatyczny konflikt z pruskim nauczycielem, który zbil i zwrócił chłopca. Sobiesław, poprzednio wielokrotnie już bity, tym razem zbuntował się i uciekł ze szkoły. Kilka lat następnym przepracował w jednym z polskich majątków. Potem wcielono go przymusowo do wojska pruskiego. W okresie rekrucim zaprzyjaźnił się z Wojtkiem Potrzebą, skromnym, wrażliwym Ślązakiem, bardzo ostro prześladowanym przez pruskich przełożonych. Wojtek postanowił odebrać sobie życie, pozorując ten krok umyślnym spadnięciem z konia podczas ćwiczeń na poligonie. Po śmierci Wojtki prześladowanie Prusaków przeniosło się na jego przyjaciela, Mrockiego. Doszło do silnego konfliktu Sobiesława z pruskim oficerem, który skończył się dezercją Mrockiego z wojska. Młody Poznańczyk uciekł przez Berlin do wolnego miasta Hamburga. Tam, z trudem dostał się na stary, zniszczony żaglowiec „Delfin”, który miał odpłynąć do Baltimore w Marylandzie (Ameryka). W zamian za obiecaną w czasie podróży pracę pomocniczą na pokładzie statku i resztę swoich oszczędności otrzymał bilet na podróż. Odbiwała się ona nie bez przygód. Na pokładzie „Delfina” Mrocki zaprzyjaźnił się z sympatycznym majtkiem — Billem, który w codziennych pogawędkach zapoznawał nowicjusza z arkanami wiedzy o statku, morzu, a także dzielił się z nim swoimi przeżyciami i doświadczeniami z wieloletnich rejsów morskich.

ZDRADNE WODY

Piękna i cicha pogoda trwała parę dni, po czym Atlantyk znowu się rozkołysał. „Delfin” szedł jednak szybko na zachód pod wszystkimi żaglami rozpiętymi na rejach, znacząc poza sobą pienistą brudę. Robiono po dziewięć węzłów, co dla statku żaglowego było wcale ładną szybkością. Jednakże Sobiesław, któremu pobyt na morzu już po dwóch tygodniach zaczął się porządnie przykrzyć, z zadręcnością spoglądał na parowce wymijające barkę i „tratujące — jak on się wyrażał — pogardliwie największe bałwany swoją potężną śrubą”.

Takie olbrzymie spotkanie dość często na uczszczanym szlaku pomiędzy Europą i Ameryką Północną.

Wymieniano sygnały morskie służące do porozumiewania się pomiędzy statkami na morzu; udzielano sobie lakonicznych wieści i na tym zwykle kończyło się spotkanie.

Sobiesław nic a nic z tych sygnałów nie rozumiał, ale Bill, który już spędził na morzu lat piętnaście, zapewniał go, że te chorągiewki tworzą tyle kombinacji, że można przy ich pomocy rozmówić się doskonale, choćby nawet o tym, jaki gatunek rumu jest najsmaczniejszy.

Kapitan „Delfina” dokonywał wszelkich pomiarów bardzo dokładnie i chętnie wyjaśniał Mrockiemu tajemnice swojej sztuki. Dzięki doskonałemu tablicom astronomicznym można z każdej gwiazdy, nawet z księżycy, oznaczyć położenie okrętu na morzu.

Wobec tego, że wiatry sprzyjały w ciągu dwudziestu dni, „Delfin” przebył już trzy czwarte swojej drogi. Kapitan spodziewał się za tydzień albo za dziesięć dni zawinąć do zatoki, w głębi której rozłożył się port Baltimore. Wszyscy byli w dobrym humorze. Wieczorami, kiedy morze było spokojne, marynarze, korzystając z wolnego czasu, grali sobie na pokładzie w stare i zatłuszczone karty albo urządzali koncert na zdezelowanej karytynie, którą Mrocki musiał kręcić z urzędu, jako najmłodszy.

Poświęcał się tej czynności katarzyniarza okrętowego dość chętnie, a nawet parę razy brał udział w tańcach, służąc kolegom za damę.

„Bale” odbywały się w sobotę po południu; dnia tego bowiem, po skończeniu czyszczenia i szorowania, majtkowie żażywali największej swobody i dostawali zwykle po miarce rumu. Niedziele natomiast były dla Mrockiego nieznośnie nudne, bo Anglicy poświęcali cały ten dzień na czytanie Biblii i skupianie ducha.

Jeżeli Bill miał czas, to Sobiesław wciągał go w pogawędkę.

Stary marynarz znał wcale nieźle język niemiecki i porozumiewanie się z nim nie przedstawiało znaczniejszej trudności naszemu dezercerowi; wyspowiadał się on Billowi ze wszystkich swych przygód i utrapień i nie żałował tego.

Marynarz, płacąc szczerością za szczerść, opowiadał młodemu towarzyszkowi o swoich przygo-

dach żeglarskich, które mogły dostarczyć każdemu pisarzowi tematów do całego szeregu sensacyjnych powieści.

Gdzie Bill nie był, czego nie widział, czego nie doznał!

Godzinami całymi Sobiesław słuchał jego prostych, ale pełnych prawdy opowieści i niejedną z nich zanotował sobie w pamięci.

Było to może w połowie czwartego tygodnia podróży; w jedną z takich sobót Sobiesław siedział na pokładzie z Billem.

— Czy każdy statek żaglowy tak strasznie się kołysze podczas fali jak nasz? — zagadnął majtkę.

Bill uśmiechnął się znacząco i spojrział dookoła, jakby chcąc się przekonać, czy go kto nie słucha:

— „Delfin”, widzisz braciszku, wygląda całkiem pokaźnie, ale jego budowniczy bardzo kiepsko znał się na swoim rzemiośle. Dobry żaglowiec powinien mieć pionowe szpangonty* na wysokości linii zanurzenia się w wodzie, inaczej rzuca go gwałtownie w górę i na dół przy lada falowaniu i kołysze strasznie wzdłuż i w poprzek. Otóż „Delfin” nie ma właśnie boków pionowych, gdzie potrzeba, stąd każdy nowicjusz musi się na nim porządnie rozchorować. Z tego to głównie powodu nasz kapitan nigdy nie zabiera podróży; ciebie zaś przyjął wyjątkowo, wiedział bowiem, że nie masz za co płynąć na dobrym okręcie, no i gapa jesteś...

— Ja, gapa? — oburzył się Sobiesław.

— Ano chyba. Przecież nigdy nie pływałeś na morzu, więc nie potrafisz odróżnić porządnego statku od byle jakiego, a na chorobę morską zachorowałeś po raz pierwszy...

— No tak.

— A widzisz. Ale nie na tym koniec. „Delfin” jest za szeroki w stosunku do swojej długości i dlatego zanadto sztywno trzyma się na morzu. Pływa jak balia na oceanie i lada silniejszy bałwan może go na swoim grzbiecie wyrzucić.

— Im szerszy, tym chyba lepszy?...

— To nowy dowód, że nie masz pojęcia o okrętach. Dobry statek powinien się chwiać od fali, pokładać się, żeby ta zeszliżgiwała się po jego pochylonym boku, przeskakiwała w razie czego ponad nim, ale wyrzucić go nigdy nie zdołała. To przecież znane rzeczy. Najgorsze zaś, że nasza barka przez skąpstwo kapitana jest kiepsko załadowana, mój chłopcze. Kapitan żałuje pieniędzy na to, żeby zapłacić za ładowanie towarzystwu znającemu się na rzeczy, ale pakuje towary sam i nie zawsze szczęśliwie. Dziób i rufa są przeładowane, skutkiem tego statek z trudnością odzyskuje równowagę przy kołysaniu podłużnym. Ale co ty się na tym znasz!

Bill urwał; Sobiesław prosił go, żeby mówił dalej.

— No, głupstwo, ładunek kiepsko rozłożony wewnątrz kadłuba. Srodek ciężkości jest stanowczo za wysoko, stąd kołysanie jeszcze się zwiększa. Ale co najfatalniejsze...

Marynarz uciał, bo koło niego przechodził właśnie oficer. Zmienił więc szybko temat rozmowy i w żaden sposób nie dał się już nakłonić do dalszych zwierzeń.

— Nie ma o czym gadać! — rzekł, kiedy Mrocki nalegał. — Nie daj Boże jednak, żebyśmy mieli spotkać się u wybrzeży amerykańskich z burzą, co się zowie...

— A barometr opada — rzekł Mrocki, który co dzień robił spostrzeżenia meteorologiczne i w ten sposób ułatwiał pracę kapitanowi.

— Bardzo?

— W przeciągu ostatniej doby zniżył się o dziesięć milimetrów.

— Ja się tam na tych wszystkich przyrządach nie znam, ale widzi mi się, że pogoda nie potrwa długo. Patrz na chmury. Na niebie od kilku godzin piętrzą się jakby bardzo wysokie góry, o zaokrąglonych szczytach, pokrytych śniegiem. U stóp zaś ich snują się delikatne obłoczki, jakby piórka z rajskiego ptaka. Otóż przekonaniem się nieraz, że to zła przepowiednia. Przy tym wiatr zmienia kierunek. Uważaj na wiatr, powiadam; od Antylów ku północy nieraz idą burze i wędrują sobie daleko na północ. Oby nas tylko nie spotkał na drodze cyklon!

Bill zamyślił się i zmarszczył czoło; teraz dopiero Mrocki zauważył, że i kapitan „Delfina” niespokojnie spogląda na niebo. I on więc spostrzegł złowrogię oznaki zbliżającej się burzy.

Sobiesław, słysząc złowrobnę słowa swego kolegi, zamyślił się.

— Czy ja znowu będę chorował? — zagadnął Billa.

— Hm, zdarza się, że i starzy marynarze podczas wielkiego kołysania się, na złym zwłaszcza statku, dostają choroby morskiej — rzekł. — Powinieneś więc w razie czego przygotować się na najgorsze.

Mrocki skrzywił się.

— Podła rzecz — takie kołysanie.

Rozmowę tę przerwał wołanie majtkę siedzącego na koszu na maszcie, czyli w tak zwanym bocianim gnieździe.

Marynarz sygnalizował zbliżanie się wielkiego statku pod wiatrem. Sobiesław wytrzeszczył oczy we wskazanym kierunku, ale nie dostrzegł nic prócz mglistej opony na widnokręgu.

— Gdzie ten statek? — zagadnął niecierpliwie towarzysza.

— Czyż nie widzisz szczytu grot- i fokmasztu? — rzekł Bill wskazując palcem.

— Gdzie?

— Ależ tam najwyraźniej widać spod widnokręgu wynurzającą się bramsztangę**. O, widać już forbramreję*** i zwieszający się na niej grotforbramżagiel****.

Mrocki podziwiał doskonałość wzroku marynarzy, którzy odróżnić mogli takie szczegóły, gdy tymczasem on nic jeszcze nie mógł zobaczyć.

— Zdaje mi się, że to będzie wielka fregata płynąca pod wszystkimi żaglami na południe, pewnie do Indii. Trzeba ci bowiem wiedzieć, mój szczerze ładowy, że dziś, pomimo niezmiernie silnej konkurencji, jaką musimy znosić ze strony parowców, nie dajemy się jeszcze pokonać. Na oceanach spotkasz wiele żaglowców, nie tylko trójmasztowców, ale i czteromasztowych okrętów, ba, i pięciomasztowe nie należące do żadnych osobliwości. Są to prawdziwe olbrzymy, które dopiero na pełnym oceanie potrafią wykaazać swoje zalety, mój chłopcze. Nie pożerają one węgla wagonami dziennie jak parowce; płyną co prawda wolniej, ale znów nie za wolno. Za to potrafią tak tanio przewozić towary jak żaden parowiec. Z Europy co dzień wypływa kilkadziesiąt fregat do Indii albo do Chin i dalej do Japonii. Fregaty, mój drogi, nie boją się morza i chętnie okrążają sławny z nawańc Przyładek Dobrej Nadziei, byle tylko nie płynąć Kanałem Sueskim, gdzie dra siódme tylko z kapitanów; rogatkowe kosztuje już pokaźną sumkę; trzeba w dodatku zapłacić za holowanie przez kanał. Nie opłaci się więc płynąć przez Morze Czerwone. Lepiej okrążyć Afrykę, jak dawniej czyniono, póki ten Lesseps, czy jak go tam, nie przekopał między morza. Trochę dalej, ale za to niedrogo. O, patrz, właśnie nadarza ci się sposobność przyjrzyć się fregacie.

Niebawem wynurzył się olbrzymi żaglowiec spod widnokręgu. Mrocki z zainteresowaniem patrzył na cztery maszty pokryte od stóp do szczytów czworokątnymi żaglami. Fregata zbliżała się do barki, powitała ją wywieszeniem flagi Wielkiej Brytanii, potem zręcznie lawirując zmieniła kierunek. Załoga miała snadź dużo do roboty, musiało zwijać niektóre żagle, bo wicher się powiększył. Taki sam rozkaz wydał kapitan „Delfina” swojej załodze. Rozmowa urwała się. Bill bowiem skoczył na drabinkę sznurową i za chwilę siedział już na dolnej rei grotmasztu i zwijał główny żagiel.

Połowę żagli zwinęto, pozostawiono tylko najmniejsze, na wyższych rejach, a pomimo to „Delfin” pruł fale z zadziwiającą szybkością, gnany wichrem, który zrywał się coraz potężniejszy. Najwyraźniej zmienił on kierunek; marynarze, chcąc płynąć na zachód, musieli co jakiś czas przekładać żagle.

Sobiesław, zaciekawiony, a zarazem zatroskany, zbliżył się do porucznika Smitha, z którym już parę razy rozmawiał, i rzucił mu pytanie:

— Czy naprawdę zagraża nam cyklon?

Oficer spojrział nań ze zdziwieniem.

— A co pan wiesz o cyklonach?

— Bardzo niewiele, proszę pana porucznika. Są to wielkie, wirowe burze; pośrodku takiego wiru znajduje się niż barometryczny, czyli minimum, jak powiadają meteorologowie; powietrze dąży gwałtownie z okolicznych punktów do środka po ślimakowej linii, tworząc bardzo niebezpieczny wir.

— Hm, na ogół trafnie, ale... to jeszcze nie dośyc.

— Dlaczego marynarze tak bardzo lękają się cyklonu?

— Na pełnym morzu dobrze zbudowany okręt nie potrzebuje lękać się najgwałtowniejszej nawet burzy, chyba żeby się znalazł w samym oku cyklonu, gdzie na pozór jest najpiękniejsza pogoda, nawet słońce we dnie świeci, a w nocy widać gwiazdy.

— Jak to, więc takie miejsce znajduje się w wirze? — zagadnął zdziwiony Sobiesław.

— W całym wirze powietrze porusza się dążąc po linii, jak powiedziales, spiralnej do środka, gdzie panuje najzupełniejsza cisza. Nazywamy to miejsce „okiem cyklonu”, bo masa czarnych chmur lejących potokami deszczu, od której odrywają się małe chmurki i dają na skrajach wiru, otwierają się nagle ponad naszymi głowami i widzimy czyste niebo. Ale ten środkowy punkt olbrzymiego wiru, to oko cyklonu, jest właśnie najniebezpieczniejsze, pomimo ciszy w powietrzu. Olbrzymie bałwany biegną ze wschodu, zachodu, północy, ze wszystkich stron widnokręgu i, spotykając się w oku cyklonu, wyprawiają piekielny taniec. Rzucają się na siebie z wściekłością, łamią się straszliwie, wyskakują w powietrze do niewiarygodnej wysokości, to znów otwierają pod okrętem istne przepaści; słowem, w środku cyklonu panuje nieopisany chaos i zamęt. Ocean zmacony jest niemal do dna. Biada słabemu, źle zbudowanemu okrętowi, który rozbestwione bałwany wciągną w szalony taniec. Albo przewróci się on na grzbiecie jakiej góry wodnej, albo zostanie zmiażdżony, zgruchotany masami wody spadającymi z wysokości kilkunastu, ba nawet trzydziestu metrów na jego pokład... I z nami działoby się jak najgorzej, gdyby się nam nie udało zejść z drogi cyklonu.

Ostatnie słowa porucznik wymówił z pewnym wahaniem, co utwierdziło Mrockiego w przekonaniu, że Bill trafnie przedstawił położenie.

A czy cyklon przesuwają się na morzu?

— Tak jest, mój chłopcze; wir olbrzymi, który ma nieraz kilkadziesiąt mil średnicy, posuwa się ruchem postępowym, niezależnie od tego, że powietrze w jego wnętrzu wiruje. Zwykle cyklony powstają w okolicach Zatoki Meksykańskiej, w Ameryce Środkowej, i wędrują daleko na północny wschód, docierając aż do brzegów zachodniej Europy.

* Szpangonty — boczne żebra w kadłubie.
** Bramsztangę — najwyższą część masztu.
*** Forbramreja — najwyższa część masztu przedniego.
**** Grotforbramżagiel — żagiel zawieszony na najwyższej rei masztu przedniego.

WIDZIAŁEM MASAKRĘ W VASSIEUX

Dokończenie ze str. 5

— Nadstawialiśmy dłonie pod szczylinę, którymi kapała do wnętrza jamy woda deszczowa i tak gasiliśmy pragnienie. W grocie było niesłychanie ciasno i duszno. W niskim otworze, którym wśliznęliśmy się do środka, kładł się kolejno każdy z nas ze stemnem. Gdyby Niemcy wykryli nasze schronienie, bronilibyśmy się do ostatniego naboju. Jednak szczęście nam na razie dopisywało. Nikt nie odkrył naszej obecności i do wieczora przeleżeliśmy bezpiecznie w ukryciu. Gdy się ściemniło, postanowiliśmy uciekać. Dalsze pozostawanie w Vassieux nie było możliwe.

— Po zapadnięciu zmroku wyczołgaliśmy się z jaskini. Postanowiliśmy iść w górę, w kierunku na szczyt Moncherotte, a potem do Saint-Julien. Poruszaliśmy się bardzo cicho, trzeba było za wszelką cenę wyjść z Vassieux tak, aby nas Niemcy nie usłyszeli. Niestety nasz ranny, którego nauczyliśmy z mężem prowadzić pod ręce, potrącił nogą deskę. Rozległ się hałas. Spadające deski i kamienie odbiły się w górach głośnym echem. Zaalarmowało to Niemców. Zaczęli natychmiast strzelać, a po chwili wypuścili wielką rakietę oświetlającą, od której zrobiło się jasno jak w dzień. Gdy rakietę zgasił, rzuciliśmy się w zboże i biegleśmy sznurem tak długo, dopóki nie ukazała się na niebie następna. Można było posuwać się tylko w ten sposób, skokami, a w czasie gdy nowa rakietka oświetlała pole i Niemcy strzelali w naszym kierunku, trzeba było leżeć w zbożu. Ja szedłem pierwszy i torowałem szlak w zbożu, za mną prowadzono rannego, za nim szła reszta. Ten szyk jednak został wkrótce pomieszany. Niemcy widzieli wyraźny ślad wytrącony w zbożu i mogli dokładnie w nas mierzyć. Trzeba było rozproszyć się po polu i każdy uciekał musiał na własną rękę. W ten sposób pogubiliśmy się. Gdy wydołałem się poza zasięg ognia karabinów maszynowych, byłem zupełnie sam.

Dalsza wędrówka p. Renna, ocalałego z masakry w Vassieux wskutek wyjątkowo szczęśliwego zbiegu okoliczności, łatwa nie była. Wyczerpany, sam, bez jakiegokolwiek znajomości terenu błąkał się po górach szukając pomocy i lękając się jednocześnie każdego spotkania z ludźmi. Słyszał strzelaninę w Vassieux: to partyzanci próbowali, daremnie, odbić stracony teren. Spotkał grupę partyzancką, do której przyłączyła się nauczycielka z mężem — jedyne osoby ocalałe z grupy uciekinierów. Był w Grotte de la Luire i pomagał przy noszeniu rannych. Tam widział po raz ostatni kolegę **Hernika** zamordowanego później przez Niemców i Francuzów, który wałem równał pole w Vassieux — ciężko rannego, w ostatnim stopniu gangreny. Dowiedział się również o losach kapitana **Hardi**, jednego z dowódców z Vassieux: w chwili kiedy Niemcy opanowywali teren, dzielny partyzant wysadził dynamitem resztki murów merostwa i zginął w nich.

W szpitalu polowym w Grotte de la Luire brakowało żywności. Zanim Niemcy wykryli tę kryjówkę, duża część zgromadzonych tam partyzantów rozproszyła się po górach. **P. Renn** dotarł szczęśliwie do małej fermy, w której pozostała już tylko jedna kobieta. Ukrył się u niej.

— Jeszcze raz dane mi było zobaczyć Vassieux w dwa tygodnie po naloce niemieckim. W okolicy ogłoszono, że potrzebni są ochotnicy do pogrzebienia ciał zabitych, które od dwóch tygodni gnily na słońcu i deszczu. Pojechałem i ja. Pomogłem w zidentyfikowaniu moich kolegów, których poznawałem raczej po ubraniu niż po twarzach. Trupy były już w stanie kompletnego rozkładu, a wapno, którym Niemcy posypywali zabitych, obawiając się epidemii, przyspieszało jeszcze ten proces. Stwierdziłem, że wszyscy polegli mieli jedną wspólną ranę: ślad kuli na skroni. To Niemcy w ten sposób dobijali rannych. Wielu nosiło ślady tortur.

P. Renn jest, zdaje się, jedynym Polakiem, który ocalał z masakry w Vassieux. Opowiadanie jego ma więc tym większą wartość. W wolnych chwilach ma zamiar zredagować obszerny opis przeżytych dni, wykorzystując zapiski, które robił od razu po wydarzeniach.

• SPORT • SPORT • SPORT • SPORT • SPORT • SPORT •



OD WIECZORA DO RANA NA BALU SPORTOWYCH GWIAZD

W POLSKIM słowniku sportowym są powiedzenia, które związane są z tradycyjnymi imprezami. I tak wiadomo, że kolarski Wyścig Pokoju jest „co roku w maju”. Podobnie jest z Bałem Mistrzów Sportu, na którym ogłaszana jest „co roku w styczniu” lista

„SPÓŁKA SPOŁECZNA” ZAMIAST KLUBU SPORTOWEGO POLONII W SYDNEY

Polonia w Sydney (Australia) na dorocznym walnym zebraniu postanowiła przekształcić swój charakter i w związku z tym zmieniała dotychczasową nazwę „Klub Sportowy Polonia N.S.” na Spółkę Społeczną — „Polonia Soccer Club North Side Limited”. Ta nowa forma ma zapewnić Polonii lepsze warunki finansowe i bardziej racjonalną pracę sportową. Każdy członek spółki wpłaca jednorazowo 20 dolarów tytułem kwoty gwarancyjnej i 10 dolarów rocznej składki. Na zebraniu zebrano 2 tys. dolarów, ale długi Polonii za poprzedni sezon wynoszą ok. 6 tys. dolarów.

NOTATNIK SPORTOWCA

KOSZYKÓWKA

Tourcoing. Tourcoing-Oignies 39:50. Druga z rzędu wygrana, i to odniesiona na trudnym, obcym terenie przesunęła klub Oignies na 5 miejsce w tabeli National II. Tym razem wszystkie ataki prowadzone były przez dobrze dysponowanego **Głodka**, **Jakubczaka** oraz **Włodarczyka**. Punkty dla Oignies zdobyli: **Głodek 2**, **Andzielski 6**, **Jakubczak 2**, **Włodarczyk 10**, **Szczepaniak 3** i **Muśnierowski 2**.

Aubercourt. Aubercourt-Menilmontant 66:24. Dobre zagrania **Fabianka**, **Nowaka**, **Jana Bielawskiego**, **Bruno Bielawskiego** i **Wojtkowiaka** gładko wyeliminowały z pucharu Francji zespół z Paryża. Punkty uzyskali m.in.: **Wojtkowiak 2**, **Bruno Bielawski 4**, **Fabianek 7**, **Nowak 8** i **Jan Bielawski 21**.

CROSS-COUNTRY

Anzin. W biegu przełajowym o mistrzostwo Flandrii **Wichniarek** z USAL zajął miejsce 3 ulegając nieznacznie mistrzowi Francji **Bernardowi** z ASA. **Wajda** był 5 i **Eliński** 7 (obydwaj z USAL). W kat. minimów **Bajarski** z USM zajął miejsce 7.

PIŁKA NOŻNA

Piennes. Piennes — Mancieulles 1:0. Jedyna, przytomnie uzyskana bramka przez **Głowacza** utrzymała Piennes na czele tabeli promotion.

Merlebach. Metz — Merlebach 2:0. Czołowa drużyna zawodowa pierwszej ligi francuskiej z bardzo dużym trudem wyeliminowała ambitnie grający zespół amatorów z pucharu Francji. U zwycięzców wyróżnić należy dawnego gracza RC Lens **Krawczyka** i **Szczepaniaka**, zaś u gospodarzy jak zwykle ofiarnie grającego **Maleskę** i **Matusiaka**.

dziesięciu najlepszych sportowców polskich. Tradycyjnie też, już raz trzynasty z kolei Bal odbył się w Restauracji Kongresowa. Tradycyjny też jest tok panujący na tym Balu. Każdy chce być na nim obecny, a ściany nie chcą się rozstąpić.

Zdobyłem jakoś zaproszenia i piętnaście minut przed rozpoczęciem wchodzę do Kongresowej. W progu wita mnie red. **Zygmunt Weiss**, który z ramienia Przeglądu Sportowego jest od wielu lat komisarzem Plebiscytu czytelników tego pisma na dziesięciu najlepszych sportowców polskich. Świetna okazja zrobienia błyskawicznego wywiadu. Red. Weiss, ongiś doskonały sprinter, startuje momentalnie:

— Otrzymałem ponad 50 tysięcy kuponów, w tym bardzo dużo od Polaków z zagranicy. Pisali do nas Rodacy z pięciu kontynentów. Najwięcej z Francji, Anglii, Stanów Zjednoczonych i NRF. Tylko 24 naszych Czytelników wypełniło kupony zgodnie z ostateczną listą. Wśród uczestników Plebiscytu rozlosowaliśmy 40 nagród, w tym również atrakcyjne wycieczki zagraniczne.

— Proszę o listę dziesięciu najlepszych.

— O, to tajemnica. Za kilka minut zresztą zostanie ogłoszona publicznie. Taki to jest red. Weiss. Nie puści pary z ust przed czasem, nawet gdy prosi go serdeczny kolega.

Zgodnie z zapowiedzią następuje uroczysty moment ogłoszenia wyników i wręczenia pamiątkowych upominków wyróżnionym sportowcom. Oczywiście jest przy tym trochę zamętu, jak zwykle gdy uroczystość transmituje telewizja. Błyskają reporterskie flesze, mnóstwo dziennikarzy chce się docisnąć do dziesiątki, a właściwie dziesiątki najlepszych, bowiem **Andrzej Bachleda** nie mógł przyjechać do Warszawy, gdyż tego samego dnia startował w Wengen.

Oto dziesiątka najlepszych w roku 1968: 1. **Jerzy Pawłowski**, mistrz olimpijski w szabli, 2. **Irena Szewińska**, mistrzyni olimpijska i rekordzistka świata w biegu na 200 m, 3. **Waldemar Baszanowski**, mistrz olimpijski w podnoszeniu ciężarów, 4. **Jerzy Kulej**, bokserski mistrz olimpijski, 5. **Józef Zapędzki**, mistrz olimpijski w strzelaniu z pistoletu, 6. **Sobieśław Zasada**, wicemistrz Europy w rajdach samochodowych, 7. **Józef Grudzień**, wicemistrz olimpijski w boksie, 8. **Janusz Kierzkowski**, zdobywca brązowego medalu w kolarstwie torowym, 9. **Andrzej Bachleda-Curuś**, szósty w slalomie na Igrzyskach Zimowych w Grenoble, 10. **Andrzej Badeński**, finalista biegu olimpijskiego na 400 m.

Teraz, gdy znam dziesiątkę, muszę zdobyć kilka słów od najlepszego sportowca Polski, majora Jerzego Pawłowskiego. Nie jest to łatwe, ale w końcu dociskam się do niego i wprowadzam z grupy dziennikarzy przy pomocy jego serdecznego przyjaciela, inżyniera architekta **Wojciecha Zabłockiego**.

— Jak Pan się czuje w roli jednoosobowej niemal wyróżnionej przez Czytelników Przeglądu Sportowego?

— Oczywiście świetnie. Bardzo chciałem znaleźć się w czołowej trój-

ce najlepszych, ale nie śmiałem nawet marzyć o pierwszym miejscu. Jestem niezwykle wdzięczny tym, którzy na mnie głosowali, zapewniam też, że jeszcze nie składam broni i przy pomocy mojej szabli będę się chciał im odwdziżyć.

Przechodzę teraz do stolika, przy którym siedzi z mężem i matką najszybsza kobieta Polski i świata — **Irena Szewińska**.

— Pani Ireno, jest Pani co prawda w długiej sukni balowej, ja jednak proszę o mini-wywiad.

— Proszę bardzo. Złe wystartowałam, albo za słabo finiszowałam w tym Plebiscycie. Cieszę się jednak i z drugiego miejsca.

I wreszcie trzeci wywiad, tym razem z przedstawicielem dyscypliny nietypowej na polskich listach plebiscytowych. Pytam **Sobieśława Zasada**, co go najbardziej zaskoczyło i ucieczyło w czasie startów w roku 1968.

— Zarówno w rajdach europejskich, jak też w maratonie Londyn — Sydney najbardziej wzruszająca była opieka, jaką otaczali mnie i moiś kolegów nasi Rodacy, rozsiani po świecie. Na całej trasie, wszędzie spotykaliśmy się z ich serdeczną opieką, wiele razy ich pomoc wybawiała nas z trudnych sytuacji, a zawsze serdeczny uśmiech, nawet łyż wzruszenia, przyjazne okrzyki lub wymachiwanie biało-czerwoną flagą dodawały sił w wyczerpującej walce ze zmęczeniem i przeciwnikami. Jestem im za to wdzięczny i jeszcze raz serdecznie dziękuję.

Kończę wywiady. Trzeba teraz wyłowić z tłumu balowiczów osoby nie związane bezpośrednio ze sportem, ale wytrwale mu kibicujące. Oto przy stoliku **Jerzego Pawłowskiego** siedzi popularna aktorka scen warszawskich **p. Maja Wachowiak** i jej mąż **Gustaw Holoubek**, znany z tego, że nie opuszcza żadnej imprezy sportowej i z jednakowym entuzjazmem dopinguje piłkarzy, bokserów, lekkoatletów lub szermierzy. Ale branża artystyczna na tym miłym małżeństwie jeszcze się nie kończy. Oto **Edward Dziewoński**, a na parkiecie, całkowicie pochłonięci tańcem **Andrzej Zaorski** i **Jan Kociński**.

Ktoś mnie ciągnie za poję marynarki. To Tomek zaprasza do stolika na „jeden głębszy”. W jego towarzystwie jest znany satyryk **Eryk Lipiński**.

Gdy tak spełniałem obowiązki reportera i toasty przy zaprzyjaźnionych stołach, wiele się utrudziłem, nie więc dziwnego, że nie udało mi się porozmawiać z wszystkimi znanymi osobistościami. Wierzę mi jednak na słowo, że bawili się na Balu Mistrzów Sportu również przedstawiciele dyplomatycznych placówek ZSRR, Iranu i Afganistanu, wiele innych osób, ale przede wszystkim mnóstwo aktualnych i starszych już wiekiem gwiazd sportu. A wszyscy, opuszczając rano salę restauracji Kongresowa żegnali się jeszcze jednym, tradycyjnym powiedzeniem:

— Za rok na Balu Mistrzów Sportu.

Cóż do tego dodać? Chyba to, że się za rok wreszcie zbuntuję i na Bal Mistrzów Sportu pójdę prywatnie, incognito. Reporter też człowiek i raz na trzynastacie lat chce się trochę zabawić.

Wacław KORYCKI

Uciekaj, uciekaj, bo cię wiatr dogoni...

SKALDOWIE ulubięcy polskiej młodzieży

W Polsce notuje się prawdziwy „potop” najróżniejszych grup skiflowych, beatowych, jazzowych i innych. Praktycznie tylko one mają coś do „wyśpiewania” w dziedzinie piosenki, one lansują utwory, które błyskawicznie nuci cała polska młodzież — nie tylko zresztą, gdyż łatwe, pełne wdzięku melodycznego i treściowego utwory wpadają łatwo w ucho dorosłych, ba, nawet starszych ludzi. Nic dziwnego. Zdobywają największą popularność w radiu i telewizji, w sklepach płytowych, stoiskach jarmarcznych na wsiach itp. Rozlegają się niemal bez wytechnienia dźwięki przebojów: „Przyjeżdż mammo na przysięgę”, „Nie przynoś mi kwiatów dziewczyno”, „Hej, Hanno”, a także mniej „rozkazodawcze”, jak „Wspólny jest nasz świat”, „Słoneczko już zaszło” i szereg innych.

Ciekawe zjawisko: dopiero na tle zespołów wokalnych wybijają się czołowi soliści.

Jednym z najpopularniejszych, a zarazem stojących na mocnych podstawach muzycznych, gdyż takie tylko zresztą zyskują uznanie publiczności, jest zespół beatowy SKALDOWIE z Krakowa. Powstał zaledwie przed trzema laty. Zaczęło się od towarzyskiego „muzykowania”, potem odwagi potrzebnej do pierwszego występu przed publicznością na różnych „Giełdach Piosenki”, Festiwalach Nastolatków itp. Przed dwoma laty zaśpiewali Skaldowie z werwą opartą na motywach ludowych piosenkę „Uciekaj, uciekaj, bo cię wiatr dogoni” i otrzymali nagrodę za interpretację. Odrobina odwagi i dużo pracy, a już druga nagroda, znacznie poważniejsza, bo na Festiwalu Opolskim za aranżację piosenki — laureatki z Festiwalu Sopockiego pt. „Po prostu jestem”. Potem już poszło łatwo — muzyka do filmów, nagranie trzech long-plejów, tournée po Polsce, wyjazdy zagranicę.

Skaldowie to zaledwie 6-osobowa grupa uroczych chłopców z kręconymi, nie przesadnie długimi włosami, przeważnie odziani w nieco udużnione, choć bardzo modne stroje, pełne koronek i falbanek, w serdaku folklorem podhalańskim pachnące... Jest w tym na pewno nutka romantyzmu, ludowości, wdzięku i czupurności. Ale chyba przede wszystkim rzetelnej wiedzy muzycznej. I to jest zwykle zaskoczeniem dla słuchaczy. Wydaje się bowiem, że śpiewane przez „Skaldów” piosenki są tak proste, rytmiczne, że prawie ze słuchu wyczone. Otóż nie. Nie byłoby „Skaldowie” skaldami, grupą ambitnych młodzieńców, gdyby szli na łatwiznę. Bo proszę zauważyć, że ci chłopcy zgrabnie przy-



tupujący na estradach hołubce mają nieliczne wykształcenie muzyczne.

Bracia Andrzej i Jacek Zielińscy pochodzą z umykalnionej rodziny z dziada-pradziada. Ich ojciec był zawodowym skrzypkiem grającym w Orkiestrze Polskiego Radia. Matka, góralka z pochodzenia, świetnie zna góralskie kapele ludowe, sama niejedno śpiewała i synów wyuczyła.

Odziedziczyli widać synkowie talenty rodzinne, bo 24-letni Andrzej zdobył wykształcenie najpierw w podstawowej, potem w średniej szkole muzycznej, a obecnie brakuje mu rok do otrzymania dyplomu Wyższej Szkoły Muzycznej w Krakowie, gdzie studiował w klasie fortepianu i kompozycji. Dziś w zespole „Skaldów” jest kompozytorem, aranżerem, organistą, teoretykiem, wokalistą i pełnym energii organizatorem.

Młodszy, 22-letni brat, Jacek, ma podobną edukację, jest w zespole wokalistą, trębaczem i skrzypkiem. Są jeszcze ich koledzy: Janek Budziaszek, 22-letni chemik z wykształcenia, wychowanek ogniska muzycznego krakowskiego Domu Kultury.

Jest też w zespole... elektro-technik z wykształcenia, 25-letni Jerzy Tarsiński, jeden z pierwszych beatowców w Polsce, a dalej Konrad Ratański, 24-letni absolwent średniej szkoły muzycznej, który studia zaczął na... po-

litechnice. Wreszcie 24-letni przyszły inżynier architekt — Feliks Naglicki, grający w zespole na gitarze.

Skład grupy — jak widać — nieprzeciętny. „Beat jest rewolucją” — twierdzą „Skaldowie”. — „Big-beatu w ogóle nie ma, to słowo dziś już nic nie znaczy, pochodzi z epoki darcia koszul, która dawno minęła. Istnieje tylko beat, rytm beatowy i ten rytm jest rewolucją w muzyce. Tak jak niegdyś był nią rytm jazzu...” „W każdej prawdziwej muzyce słychać przeszłość muzyki — twierdzą, gdy zarzuca się im adaptację Bacha. Czerpią w swych utworach wiele z motywów folklorystycznych, choć tworzą oryginalne w brzmieniu piosenki, pełne życia, wigoru, młodości, a także liryzmu, ciepła, ba, nawet romantyczności. Te cechy być może w połączeniu z dużym talentem, staranną pracą wokalną sprawiają, że są jednymi z najmodniejszych i najbardziej lubianych przez polską młodzież. K. K.

Nowe filmy

„LA PISCINE”

— Dans l'atmosphère éclatante des vacances méditerranéennes, un drame brutalement noué et dénoué. Quatre personnages, quatre caractères aux prises, dans une lutte sourde àpre qui les brisera tous.

L'HISTOIRE: Jean-Paul et Marianne passent d'heureuses vacances dans la luxueuse villa de Saint-Tropez que des amis leur ont prêtés. Ils n'ont d'autre souci que d'assouvir leur passion jusqu'au jour où Marianne invite Harry et se fille Pénélope à venir se joindre à eux.

A partir de ce moment, l'atmosphère change dans la maison. Sous l'accord apparent une crise se noue. Pénélope joue l'indifférence, d'autant mieux qu'elle comprend bientôt l'intérêt qu'elle inspire à Jean-Paul et l'inquiétude que cela provoque chez Marianne. Les deux hommes ont en commun la passion de la vitesse. Sous les dehors amicaux subsiste entre eux une rivalité agressive. Chez Harry, un mépris non dissimulé envers

ne, et s'il s'en est détaché, il laisse bien entendre à Jean-Paul qu'il pourrait aisément la reconquérir. Quant à Marianne, elle considère Pénélope comme une rivale possible: et c'est pour cela, sans doute pour se prouver qu'elle est la mieux aimée, qu'elle jette littéralement la jeune fille dans le bras de son amant.

Elle même flirte avec Harry, mais au cours d'une surprise-party, ils sont découverts par Jean-Paul et Pénélope. Est-ce ce fait qui précipite les événements? Pénélope devient la maîtresse de Jean-Paul. D'abord pour déplaire à son père qu'elle méprise puis, pour affirmer son indépendance. Mais au-delà, c'est la passion qu'elle découvre. Dès lors, tous les rapports sont bouleversés. Harry, brutalement mis devant le fait, perd son cynisme et son indifférence. Il devient un père comme les autres. Une nuit, une dispute éclate entre les deux hommes à propos de Pénélope. Harry tombe dans la piscine. Non seulement Jean-Paul ne

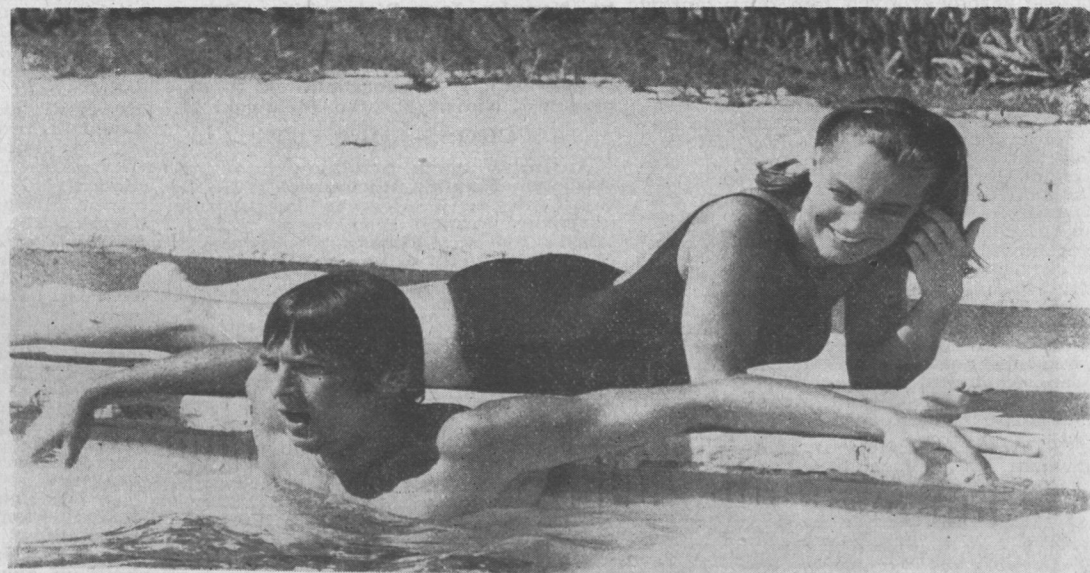
l'aide pas à s'en sortir, mais brusquement, saisi d'un accès de rage, il lui maintient la tête sous l'eau jusqu'à ce que mort s'ensuive.

Marianne découvre la culpabilité de son amant. Elle se tait, car si Jean-Paul lui est maintenant étranger par certains côtés, elle en est toujours amoureuse et dans la lutte entreprise, elle veut avoir le dernier mot; elle l'aura: Pénélope rejoindra se mère en Suisse.

L'enquête de la police tourne court. Mais le meurtrier et celle qui est un peu devenue sa complice, ne seront pas autant libérés. Ils sont trop attachés l'un à l'autre pour pouvoir se séparer. C'est le début de leur enfer.



Jean-Paul, qu'il domine par sa réussite et ses succès. Chez Jean-Paul, complexé par son sentiment d'infériorité, une haine sourde envers le père que l'attirance éprouvée pour la fille de Harry semble exacerber. Harry fut autrefois l'ament de Marianne.



Wymieniamy korespondencję

JOZEFA ŁAPIAK — Wrocław 16, ul. Nasienna 39 m 1 — chętnie korespondowałaby z kolegami i koleżankami z Francji na temat współczesnej młodzieży i filmu. Interesuje się muzyką nowoczesną, kolekcjonuje widokówki. Ma lat 19.

ROMUALD FISCHÖEDER — Gdańsk-Wrzeszcz, ul. Kosciuszki 64 m 1 — pragnie za pośrednictwem „Tygodnika” nawiązać korespondencję z rówieśnikami z Francji lub Belgii. Ma lat 21, pracuje i uczy się jednocześnie w technikum zaocznym. Interesuje się życiem młodzieży polonijnej i na ten temat chciałaby korespondować.

DANUTA NOWACZEK — Lublin, ul. Ochotnicza 9 m 24 — uczennica V klasy technikum chemicznego, chciałaby korespondować z chłopcem lub dziewczyną z Francji. Ma lat 18, i interesuje się chemią, literaturą, muzyką młodzieżową, filmem i sportem. Odpowie na każdy list.

IZABELA LEONCZUK — Warszawa, ul. 1 Sierpnia 45 m 19 — ma lat 17 i bardzo chciałaby korespondować z młodymi ludźmi z Francji lub Belgii. Jej zainteresowania, to historia i życie młodzieży w innych krajach, a w szczególności młodzieży polonijnej. Zbiera znaczki pocztowe, widokówki kolorowe i zdjęcia aktorów oraz piosenkarzy.

HALINA BOCIAN — Bydgoszcz, ul. Gen. Świerczewskiego 10 m 6 — uczy się języka francuskiego i dla lepszej znajomości tego języka chciałaby korespondować z młodzieżą francuską. Interesuje ją wszystko co dotyczy młodzieży, a w szczególności osiągnięcia w nauce, rozrywki, zabawy, moda. Zbiera widokówki i znaczki pocztowe. Ma lat 16.

JADWIGA WAWRZYCKA — Kielce, ul. Wróblewskiego 2 (WUS) — chętnie korespondowałaby z młodzieżą polonijną z różnych krajów, a szczególnie z Francji i Belgii. Interesuje się życiem młodzieży w innych krajach. Ma lat 21. Odpowie na każdy list.

ANDRZEJ OLSIENKIEWICZ — Żyrardów, ul. Wyszwickiego 20 m 1, woj. warszawskie — ma lat 19, in interesuje się literaturą, muzyką nowoczesną, teatrem, filmem, sportem i turystyką. Chciałaby korespondować najchętniej z Rodakami z Francji lub Belgii.

RYSZARD RACZYŃSKI — Gdańsk 6, ul. Matki Polki 6a m 9 — z zawodu jest technikiem (lat 22). Bardzo lubi korespondować i za pośrednictwem „Tygodnika” pragnie nawiązać kontakt z Rodakami z zagranicy. Interesuje się filmem, teatrem, muzy-

ką, uczy się języka francuskiego. Zbiera widokówki, zdjęcia aktorów i pisma kolorowe. Z niecierpliwością oczekuje na listy.

WITOLD GANCZAREK — Gdańsk 6, ul. Matki Polki 6a m 9 — pragnie korespondować z młodzieżą polonijną. Ma lat 16. Kolekcjonuje zdjęcia aktorów i aktorek.

Réalisateur: Jacques Deray.

Scénario: Jean-Emmanuel Conil.

Adaptation et dialogues: J. C. Carrière et Jacques Deray.

Principaux interprètes: ALAIN DELON (Jean-Paul), ROMY SCHNEIDER (Marianne), MAURICE RONET (Harry), Jane BIRKIN (Pénélope).



dla dziewcząt i kobiet • dla dziewcząt i kobiet • dla dziewcząt



Wspomnienia o Poli Negri

Kto raz widział jej oczy...

wiając poza sobą niezatarte wrażenia i zachwyty młodych wówczas rozmarzonych dusz...

Natknęliśmy się przypadkowo, o parę godzin od Hollywoodu, na przyjaciółkę naszej znakomitej Rodaczki z owego właśnie okresu i bodaj wcześniejszego. Obie były wtedy podlotkami. Obie marzyły o artystycznej karierze, o sławie i fortunach. Chodzi o panią **Zofię z domu Wiercioch**, damę, która mimo lat zachowała nie tylko młodość ducha i świeżość myśli, ale i fizyczną kondycję, humor i urok zawsze młodej warszawianki. Cienką smugą snuje się dym z papierosa. Zapatrzona, szuka natchnienia dla snucia dawnych wspomnień.

— Co pana najbardziej ciekawi z życia Poli?

— **Właśnie owe lata z pierwszego okresu jej kariery na warszawskim bruku.**

— Czy zna pan Powiśle warszawskie? — Tam mieszkaliśmy z Polą, na ulicy **Browarnej**. Niewielka była ulica, ani bardzo elegancka, ani jedna z głównych. Ot, po prostu ulica, jakich jest wiele w Warszawie. Mieszkaliśmy blisko siebie. Widywaliśmy się często, tocząc rozmowy charakterystyczne dla warszawskich panienek owego okresu. **Głównym jednak tematem była sztuka. Raczej taniec, ponad wszystko. Pola była zapaloną marzycielką.**

Z godnym uwagą uporem ciągle wracała do tego samego. Jej sny zarażały wówczas całe otoczenie, a przede wszystkim nas, jej najbliższe koleżanki i przyjaciółki. Došlo do tego, że Pola dopatrywała się w nas choreograficznego talentu, nawet tam, gdzie go być może wcale nie było. Musiałśmy tedy robić kilka kroków, starać się stawać na paluszkach, nogę wyginać kibiś i uśmiechać się do nieobecnej publiczności. Jednym słowem, tworzył się teatr, którym ona kierowała. A, zaraz, proszę nie zapominać, że Pola miała charakter. Wiedziała do czego dąży i przez nikogo nie dążył się odwieść od swych zamiarów.

kiem, chociaż ma męża. Wtedy wszystko rozumiałam. Dlaczego on nigdy na mnie nie zwracał uwagi, dlaczego robił wrażenie człowieka, któremu obojętne są kobiety. On ją po prostu kochał i ze względu na jej stan cywilny utrzymuje to w tajemnicy.

Straszny to był dla mnie cios. Jestem uczuciowa, nikomu nie chcę uchościć w drogę. Poważnie traktuję życie i uczucie. Muszę zrezygnować z tego wszystkiego, choć jest to dla mnie strasznie bolesne. Zastanawiam się tylko, czy może jeszcze trochę poczekać, może oni się rozejdą. Ale czy mam szansę?

ZAKOCHANA

DROGA PANI!

Na co ma pani czekać? Przecież to jest oczywiste, że on się panią nie interesuje. Liczy pani, że coś się jeszcze zmieni? Oczywiście może się zmienić, nie wiem jednak, czy warto sobie zawracać głowę niepewną miłością. Zresztą myślę, że nie byłoby dla pani rzeczą najprzyjemniejszą czekać aż kuzynce znudzi się ten pan, czy aż jemu znudzi się ona. To takie okruczności z pańskiego stołu! Lepiej żeby pani zrezygnowała z tego złe umiejscowionego uczucia. Trzeba trochę się rozejrzeć wokół, zawrzeć nowe znajomości i poczekać na nowe uczucie. A przede wszystkim nie martwić się. Nie on jeden na świecie!

ANNA

— **Czy ona miała wrodzony talent taneczny, czy też uczyła się tej sztuki w jakiejś szkole z myślą wstąpienia kicays na Olimp?**

— **Io, że miała talent, to pewne. Jest też niewątpliwe, że rozwijała go dzięki nauce w Szkole Baletowej. Nazwisko roli nie obiegają jeszcze warszawy, ale kto raz ją widział na scenie, nie mógł wątpić, że amolna tancerka zacytowanie kroczy ku stawie i wszystko obali po drodze, co do niej prowadzi.**

Jej wpływ na nas był bezsprzeczny. Ze wymiennie na potwierdzenie tego charakterystyczny fakt. Na skutek namowy Poli, inna nasza koleżanka, Halina Jakszówna, także wstąpiła do Baletowej Szkoły. Niedługo jednak trwała kariera ostatnio wymienionej, jako że niebawem wyszła ona za mąż, stając się po prostu żoną lekarza.

Prawdę mówiąc, i ja miałam pojęcie w ich ślady, ale w domu stanowczo sprzeciwiali się mojej woli, uniemożliwiając mi wstąpienie w służbę sztuki. Coś jednak z moich ciągłok pozosao, mimo wszystko. Syn mój stał się znanym baletmistrem. Przynajmniej się, że nigdy nie bytam surowa wobec jego skłonności i zamiowania do tańca. Odwrotnie. Miałam w pamięci matkę Poli, która wszystko robiła, aby córce pomóc w zdobywaniu kariery i sławy. I ja starałam się być dla mego syna doradczynią, powierniczką i przyjaciółką. Z dumą wyznaję, że syn mój dopiął swego dzięki własnemu talentowi i wyraznemu powołaniu, w czym matka jego nie stała na przeszkodzie. Ktoś kiedyś odezwał się, iż staro się to... z winy matki. To punkt widzenia. Kto jednak wczuwał się w sztukę, ten o winie nie mówi, bo jej nie widzi, choćby niekiedy miała ona istnieć. Sztuka oświeca. Sztuka oświeca i omamia. I wybacz.

— **Czy wie o tym Pola?**

— **Bodajże nie. Nie mam jej obecnego adresu i jak się domyślam — ona nikomu go nie udziela. Jestem pewna, że gdyby znała mój obecny adres, na pewno by się z mną skomunikowała. Choćby dla snucia dawnych wspomnień.**

— **Co więcej nam Poli powie o warszawskiej Poli? Czy wtedy już obrała sobie pseudonim Negri?**

— **Sądzę, że nie. Albo uczyniła to w Berlinie, dokąd z Warszawy pojechała, albo już w Hollywoodie. Może i dobrze zrobiła. Cudzoziemcom niełatwo wymówić nazwisko Chalupiec.**

Pani Zofia znów zapaliła papierosa i w tej samej chwili nadal szukała swoich wspomnień. I oto, co znów jej na pamięć przyszło:

— **Ciekawe, tyle lat upłynęło, a wciąż jeszcze widzę ich mieszkanko jednopokojowe z kuchenką. Skromniutki, ale schludne. Matka jej dbała o zewnętrzną wykład swojego ogniska. Widzę, jak dziś, nad łóżkiem wielki baldachim, koroneczki, kobiece gust, co pozostawia ślady na detalach mebli i dekoracji.**

Matka, skromnie ubrana, tak też i nakazywała swojej córce. To też nie pamiętam Poli w luksusowych modelach czy wyszukanych sukniach czy wyszukanych modelach. I bodaj tak jej było lepiej do twarzy. Miała śnieżną, wielkie, czarne oczy. Nieco w nich było smętku, a może tęsknoty za sławą, a może niepewności jej zdobycia. Kto raz widział jej oczy, nie mógł ich zapomnieć. Oczy przykuwały swoim pięknem, a z czasem rozkazywały. To oczy, co kochają świat i sztukę.

— **I dodałabym, że w skromności Poli tkwiła jej elegancja, dobry smak i nade wszystko umiar. Była przystojna, choć wówczas, w Warszawie może nieco pełniutka, choć bez zbędnej tuższy. Wciąż ją widzę w ich skromnym mieszkaniu, otoczoną miłością jej matki, rozmarzoną i wierzącą w swoją gwiazdę. Dopiero kilka lat później matka opuściła ją na zawsze.**

Mijały chwile, długie i brzemiennie w reminiscencje

dawnych lat na warszawskim bruku. Mówiła nam pani Zofia, jak będąc przyjaciółką młodej Poli Chalupiec podziwiała bohaterów narodowych, a zwiastcza Tadeusza Kościuszkę, nie wiedząc wówczas, że po latach, w Nowym Jorku, gawędzić będzie z wnuczką tej przejasnej historycznej postaci... Ale to już odbiega nieco od wspomnień

o Poli. A rozmowa była spowodowana właśnie na tle młodości naszej znakomitej Rodaczki, która przed laty hipnotyzowała publiczność kinową na całym świecie, gdzie tylko był ekran i gdzie wyświetlano film.

Jerzy HALAMSKI
„Głos Polski” Toronto
Kanada

Michalinka ma głos

PODDAJ MI DOBRY POMYSŁ

DLACZEGO nie było moich felietonów w ostatnich tygodniach? Bo przyznam wam się, że ostatni okres świąteczny i noworoczny tak mnie zaabsorbował i wyczerpał, że ostatni zostałam z kompletną pustką w głowie. Zupełnie wyprana z inwencji i pomysłów. O czym więc napisać felieton? O popijaniu sylwestrowym? Nie mogę, bo sama bym się przy tym porządnie skompromitowała. Znów przycześć łatkę moim koleżankom Maniusi, Aniusi i Helusi? Nie odważę się, bo spotkałam je w czasie świąt i zagroziły, że mnie kiedyś dopadną i utopiają za te moje wszystkie złośliwości pod ich adresem. Więc skąd wziąć temat na felieton? Zwróciłam się z tym pytaniem do mojej sąsiadki, pani Dumas.

— **Poddam ci świetny pomysł — pisnęła — a jakli dowcipny! Cha, cha, cha! Pikantny! — I nacyliwszy mi się do ucha zaczęła szeptać...**

— **Dobry, co?**

Zaczerwieniłam się po uszy, chociaż wcale nie jestem niewinna.

— **Przecież to się nie nadaje do druku...**

— **No wiesz? Myślisz, że innym kobietom to się nie zdarza? Nie musisz podać wszystkich drażliwych szczegółów, tylko to najważniejsze.**

Nie mogłam podać ani szczegółów, ani tym bardziej tego, co najważniejsze. I znów nie miałam tematu w głowie, którą wystawiwszy u fryzjera do trwałej ondulacji — odebrałam potem w stanie nie do użytku. Ondulowana próżnia. Zwróciłam się o radę do męża.

— **Co? Do mnie po to przychodzisz? — zawołał rozgoryczony. Owszem, poddam ci pomysł. Napisz o tym, co czuje mąż, którego żona wzięła sobie za cel do swoich złośliwych felietoników. Co czuje taki nieszczęśnik, którego znajomi wymieniają uśmiechki na jego widok, szepcząc: „To ten dziwak”, „To ten rogacz”, — „To ten skąpiec” — i inne „pochlebne” uwagi. Chcesz mnie nadal tak kompromitować?**

Umilkłam pokornie i zadzwoniłam jednak do mojej koleżanki, Geniusi.

— **Aha — zapiszczała z satysfakcją. — Napisz o takiej, co to u drugich widzi wady, ale nie u siebie. Która stara się być dowcipna cudzym kosztem. Której należy unikać jak ognia, bo...**

Zawiesiłam słuchawkę. Postanowiłam, że najlepiej będzie wybrać jakiś temat z codziennego życia. Podłuchać rozmowy drugich. Może uda mi się z tego wyłuskać coś ciekawego...

Weszłam do sklepu spożywczego i stanawszy z boku słuchałam co mówią kobiety.

Pierwsza rozmowa:

— „Oho, zimno dzisiaj!”
— „Wczoraj było cieplej”.
— „A jutro zapowiadają deszcz...”

Druga rozmowa:

— „Brr, ochłodziło się!”
— „Nie najlepsza pogoda”.
— „Jak zwykle w styczniu!”

Trzecia rozmowa:

— „Zima jeszcze trwa!”
— „Dziś jest chłodniej niż wczoraj”.
— „Jeszcze daleko do wiosny...”

Wszystkie te rozmówki były, jak widzicie, niezbyt interesujące. Ale nie mogę przecież pisać o pogodzie, bo nie jestem instytucją meteorologiczną. Wróciłam do domu zniechęcona i usłyszałam w telefonie zdenerwowany głos redaktorki.

— **Co się z tobą stało? Musiałam oddać gazetę do druku bez twojego felietonu!**

— **O, jaka szkoda! A miałam przecież tyle doskonałych pomysłów!**

MICHALINKA

RADY
od
Serca

SZANOWNA PANI ANNO!

Tak bardzo kochałam tego człowieka, a teraz wszystko się skończyło. I jestem w rozpacz, nie mam po co żyć i nie mogę sobie znaleźć miejsca. Muszę pani opowiedzieć po kolei, jak to było. Znałam go od pięciu lat, właściwie od razu pokochałam, jak to się mówi, od pierwszego wejrzenia. On na mnie nie patrzył. Myślałam, że w ogóle nie interesuje się kobietami. Ja oczywiście też nigdy nic nie mówiłam, jestem na to za ambitna. Niedawno zwierzyłam się z całej mojej miłości kuzynce, u której go poznałam i z którą jestem bardzo zaprzyjaźniona. Kuzynka ma męża i dzieci. Gdy jej wyznałam moje uczucia, wydawało mi się od razu, że zachowuje się dziwnie. Niczego jednak nie podejrzewałam. Jakież było jednak moje zdziwienie, gdy przypadkiem poznałam prawdę! Oóż okazuje się, że ta moja zaufana powiernica od paru lat żyje z tym człowie-

LISTY Józefa Grzybka

Nasz język nie jest wcale taki „mały”

PANIE REDAKTORZE!

Jak wiadomo, według tradycji biblijnej w tak zwanym zaraniu dziejów „była wszystka ziemia jednego języka, i jednej mowy”. Niestety, odęci pychą potomkowie Noego uparli się, że zbudują „miasto i wieżę, której by wierzch dosięgał do nieba”, i ściągnęli na siebie gniew boży: za ślepotę i nierząd pomieszał im Bóg języki.

Jakkolwiek byśmy się do tej biblijnej opowieści o budowaniu wieży babilońskiej ustosunkowali, pozostaje faktem i nie podlega dyskusji, że — jak powiedział Wolter — różnorodność języków to jedno z największych nie-szczęść ludzkości. Bo przecież gdyby narody świata mówiły wspólnym językiem, to cała ludzkość opierałaby się na wspólnych pojęciach i ucieleśnieniu, urzeczywistnienie takich ideałów jak pokój, zgoda, porozumienie z pewnością nie byłoby tak piekielnie skomplikowaną sprawą jak dziś. Dobrze to rozumiał Johann Martin Schleyer, który postanowił naprawić skutki głupstwa potomków Noego, i w tym celu opracował (w r. 1880), sztuczny język międzynarodowy, tzw. volapük. Doskonale pojmował to również lekarz warszawski Ludwik Zamenhoff, który także stworzył sztuczny międzynarodowy język — esperanto. Niestety, język esperanto nie przyjął się szerzej, esperantystów jest w stosunku do liczby mieszkańców całego naszego globu stosunkowo mało, a o volapüku w ogóle nie warto mówić, zapomniano o nim doszczętnie.

Skazani więc jesteśmy niejako na różnorodność języków. Różnorodność ta jest prawdziwie imponująca. Oblicza się, że istnieje obecnie 2.796 języków — nie licząc języków „martwych”, tj. łacińskiego, starogreckiego, itd. Oczywiście — i na szczęście — człowiek, który pragnie zostać ogólnym chociażby poliglota, może ograniczyć się do liczby znacznie mniejszej. Istnieje bowiem 13 „wielkich” języków, z których każdym posługuje się ponad 50 milionów ludzi. Najbardziej rozpowszechniony jest rzecz jasna chiński — używa go 700 milionów ludzi. Następnie „idą” język hindi i urdu, którymi posługuje się 280 milionów ludzi, potem angielski (250 milionów), hiszpański (150 milionów), rosyjski (130 milionów), niemiecki i japoński (100 milionów), francuski, indonezyjski i portugalski (każdy z nich ma po 80 milionów „użytkowników”), arabski (70 milionów), bengali i wloski (po 60 milionów).

Języki te są państwowymi w 65 krajach. Są to języki nauki, sztuki, handlu i dyplomacji. Który z nich jest najważniejszy? Wydawałoby się, że chiński, bo przecież mówi nim co czwarty mieszkaniec naszej planety, ale tak jednak nie jest. Znaczenie języka określa nie tylko liczba używających go ludzi, ale także i literatura. Języków uczy się człowiek nie tylko po to, aby nimi mówić, ale także i przede wszystkim dlatego, aby poznać kulturę, naukę i sztukę innych krajów — czyli po to, aby móc w tych językach czytać. Innymi słowy: o ważności danego języka decyduje również liczba i nakłady gazet i książek, jakie się w tym języku ukazują. Ponieważ ostatnio zajmowałem się trochę tymi sprawami, mogę Wam tytułem przykładu powiedzieć, że w języku angielskim codziennie ukazuje się tyle gazet, co we wszystkich pozostałych językach świata razem wziętych, a jeśli idzie o książki, to najwięcej ukazuje się ich w języku rosyjskim.

Przy wyborze nauki języka trzeba także brać pod uwagę jego rozprzestrzenienie geograficzne. W tej dziedzinie pierwsze miejsce zajmuje hiszpański, który jest oficjalnym językiem 20 krajów świata. Angielski jest językiem państwowym w 15 krajach, arabski w 13, francuski — w 9, niemiecki — w 3. Wynika z tego, że znając 5 języków można jechać bez tłumacza do 60 krajów i rozmawiać z 30% ludności globu.

Katon Starszy (jedną z największych postaci w dziejach starożytnego Rzymu) kończył podobno wszystkie swoje przemówienia słowami: „Zresztą sądzę, że należy zniszczyć Kartaginę”. Ja, ilekroć mowa jest o językach, zawsze mam ochotę namawiać młodych ludzi, aby uczyli się polskiego. Cóż, że nie zalicza się go do języków „wielkich”? Ważne jest to, że to jest n a s z

język. A poza tym nie jest on znowu wcale taki „mały”: mówi nim nie tylko przeszło trzydziestomilionowa Polska, ale także i osiedlona w 32 krajach świata Polonia zagraniczna, której liczebność określa się na około 10 milionów osób! Więc chyba warto uczyć się także i ze względów praktycznych, prawda?

Bywajcie zdrowi, Drodzy moi.

Józef Grzybek
z Nordu

Z żałobnej karty Wychodźstwa

Z szeregów Wychodźstwa polskiego ubyli ostatnio:

FRANCISZEK A. BRANDT, lat 74, długoletni działacz Polonii amerykańskiej, organizator życia sportowego wśród młodzieży polskiego pochodzenia — zmarł w Chicago 14 listopada 1968 r.

MARIAN FURTAŁ, b. oficer WP, zasłużony działacz społeczny na terenie Adelajdy, założyciel Koła Przyjaciół Harcerstwa Polskiego w Australii — zmarł 15 września w Sydney (Australia).

CZESŁAW GIERA, b. żołnierz Wojsk Polskich w czasie II wojny, działacz polonijny na niwie kulturalnej — zmarł 17 listopada 1968 r. w Perth Amboy (USA).

CZESŁAW WIŚNIEWSKI, lat 55, działacz Związku Polaków w Ameryce — zmarł 28 listopada 1968 r. w Detroit.

SZYMON KALUSZKA, lat 80, działacz i członek wielu towarzystw polonijnych w Ameryce — zmarł 26 listopada 1968 r. w Detroit.

Ksiądz **STANISŁAW CHYLEA**, lat 69, prałat, proboszcz polskiej parafii w Chicago, działacz społeczny — zmarł 12 listopada 1968 r. w Chicago.

Ksiądz **MARIAN METLER**, urodzony w Bydgoszczy, kanonik, gorący patriota, działacz organizacji „Veritas” na terenie Chicago, zmarł 9 listopada 1968 r. w Idaho Falls (USA).

KAJETAN JAROSZEWICZ, lat 82, urodzony na dawnych Kresach, major WP, kawaler Virtuti Militari — zmarł w Londynie 4 stycznia 1969 r.

JOZEF BAŃKA, członek i wieloletni działacz Stowarzyszenia Weteranów Armii Polskiej w Ameryce — zmarł 9 listopada 1968 r.

HARRY R. GUZELL, weteran II wojny światowej, działacz polonijny — zmarł 8 listopada 1968 r. w Chicago.

FRANCISZEK JARKA, dziennikarz, długoletni pracownik „Dziennika Chicagowskiego” — zmarł 9 listopada w Chicago.

WIKTORIA CHOLEWCZYŃSKA, lat 81, wieloletnia działaczka Związku Narodowego Polek — zmarła 12 listopada 1968 roku w Chicago.

JOZEF F. STERCZEK, urodzony w Polsce w Wietrzehowicach, wieloletni działacz polonijny, założyciel Klubu Wietrzehowice w Chicago — zmarł w listopadzie 1968 r. w Chicago.

TOMASZ RYGLEWSKI, weteran I wojny światowej, działacz emigracyjny — zmarł 18 listopada 1968 r. w Chicago.

JAN J. L. BYSZEWSKI, ur. 1893 na Kujawach, potem generała Byszewskiego, adiutanta króla Stanisława Augusta Poniatowskiego, były dyplomata, pracujący w aparacie emigracyjnym rządu polskiego w Angers i Londynie po 1939, po wojnie wykładowca języków w Kolegium Związku Nar. Polskiego w Cambridge Springs — zmarł w listopadzie w Nowym Jorku.

GLADYS M. MATEYKO, lat 47, profesor biologii na uniwersytecie w Nowym Jorku i ekspert w dziedzinie badania raka — zmarł w Nowym Jorku.

MICHAŁ DUDA, lat 59, dr, rektor kolegium stanowego w Californii — zmarł w Pittsburgu, pogrzeb odbył się w Latrobe.

JOZEF DOBBS DOBROSIELSKI, lat 63, prezes Polskiej Gminy Związku Narodowego Polskiego w Pittsburgu, przez 30 lat działacz polityczny, odgrywający poważną rolę w ramach amerykańskiej partii demokratycznej i życia polonijnym — zmarł w Pittsburgu.

PKO

23, rue Taitbout — PARIS IX-ème
Tél. 824-42-02 Métro: Chaussée d'Antin

BANK POLSKA KASA OPIEKI S.A.

- Udziela wszelkich informacji osobiście, telefonicznie i odpowiada na zapytania listowne.
- Przyjmuje zlecenia z FRANCJI do POLSKI na towary PKO oraz pieniądze jako pomoc i dary dla rodzin i znajomych w Polsce. Dostawa towarów i gotówki następuje wprost do domu adresata.
- Przekazuje wpłaty na koszty podróży dla osób zaproszonych z Polski do Francji.
- Przyjmuje wkłady na oprocentowanie oraz załatwia wszelkie inne operacje bankowe
- Na żądanie wysyłamy nasze prospekty, cenniki i materiały informacyjne.

Bardzo niskie koszty, szybka i wykwalifikowana obsługa

BANK PKO S.A.

23, rue Taitbout PARIS IX-ème



LUTY. Chęć zobaczenia jak najprędzej w naszym ogródku kwiatów i warzyw nie pozwala czekać na całkowite przebudzenie się natury. W inspektach, pod szkłem wkrótce już ukażą się wiatle, zielone roślinki, które dzięki odpowiedniej opiece dostatecznie podrosną, aby znaleźć swe miejsce na zagonach, gdy tylko się ociepli. Nowa wiosna zbliża się i jest zachęta i podnieta do nowej pracy w ogrodzie warzywnym, owocowym, kwiatowym.

W OGRÓDKU WARZYWNYM rozpoczynamy właściwie pierwsze wysiewy na zagonach obesznietych i słonecznych, a później dopiero w miejscach cienistych i wystawionych na działanie wiatrów wysuszających. Jak radziliśmy w ubiegłym miesiącu, luty jest najodpowiedniejszą porą na posianie małego groszku (pois hâtifs, długi: Express à longue cosse, Prince nain très hâtif d'Annonay lub Petit Albert lub Michaux de Paris; krótki: Provençal). Siewamy w ochronnych rowkach, głębokich na 7—8 cm i odległych od siebie o 40 cm. Po wysianiu ziarno przykryć 2-centymetrową warstwą ziemi. Trzeba przypomnieć, że najbardziej praktyczna szerokość dla zagonu ogrodnika-amatora to 1 metr 20 cm. Warto również posiać na działce bób (fèves, 4 rzędy, 1 ziarno co 18 cm, a na miejsce bobu — pory). Sadzimy też czosnek (5 rzędów, ząbek co 12 cm i na 3 cm głęboko; po czosnku — salaty). Czosnek sadzony wcześniej i w dobrej ziemi powinien dać z główki 10—12 ząbków. Srodkowy ząbek idzie w nasienie. Można już sadzić cebulę szalotkę (échalotes, 6 rzędów i co 12 cm cebulka). Brzeg ścieżek można obsadzić szczyptorkiem (ciboulette, co 10 cm pęczek), szczyptorkiem (oseille) lub tymiankiem (thym).

Jeśli temperatura pozwala i ziemia jest odpowiednio przygotowana — w glebie ciężkiej, gliniastej, sadzimy kapustę wiosenną, która zimowała w szkółce (3 rzędy co 40 cm sadzonka; po kapuście najlepiej marchew lub pory). W drugiej połowie miesiąca można posadzić kalafiory (choux-fleurs Lenormand à pied court lub demi-dur de Paris, 1 rząd na zagonie i co 70 cm w rzędzie). Kapustę i kalafiory możemy posadzić na zagonie obsianym wczesną marchwią i rezyką, a później posadzić dwa rzędy salaty. W ten sposób będziemy zbierać kolejno rzodkiewkę, salaty, marchew, kapustę i kalafiory. Wymaga to jednak opieki i dobrej ziemi.

Przypomnijmy jeszcze, że gdy ziemia nie jest zmarznięta i nie pokryta śniegiem i gdy posiadamy wolne chwile, to przekopane jesienią w grube pajdy zagony dobrze jest jeszcze raz przekopać i zasilić sztucznym nawozem. Obornik nadaje się doskonale na wzmocnienie ziemi lekkiej i wapnistej.

W OGRÓDKU OWOCOWYM trwa dalej oczyszczanie i skracanie pędów gruszy i jabłoni. Prace te trzeba ukończyć do drugiej połowy marca. Przerzedzamy też gałęzie śliwek i skraca-

my rozrost czereśni i innych drzew, bo drzewo nadmiernie rozrastające się daje owoc mało albo wcale nie daje.

Trzeba również przerzedzić i skrócić krzewy winne oraz agrest, porzeczki, maliny. Drzewa i krzewy już odżyły, więc trzeba się spieszyć z ich posadzeniem. Druga połowa miesiąca jest idealną porą na oprysk zimowy drzew owocowych. Używa się do tego preparatów pochodnych Carbolineum, Dinitrocresol, Polysulfures albo oliwy żółtej. Te ostatnie, nieco droższe, są bardzo skuteczne przeciw większości szkodników.

Po zgrabieniu starych liści i pozostałości po obciętych gałęziach, trzeba wszystko spalić lub zakopać. Można również skopać ziemię pod drzewami i wzmocnić nawozami sztucznymi.

W OGRÓDKU KWIATOWYM siew ograniczają wahania temperatury. Aby uniknąć ryzyka i przyspieszyć uzyskanie pięknych kwiatów, można posiać goździki w skrzyneczkach drenowanych, w dwóch trzecich napełnionych lekką ziemią ogrodową, a w trzeciej części przesianym torfem lub próchnicą. To wszystko polewamy, aby ziemia osiadła i przysypujemy kilkumilimetrową warstwą rozdrobnionego torfu lub próchnicy. Siewamy ziarno i lekko uklepujemy, a następnie bardzo ostrożnie podlewamy. Skrzyneczkę nakrywamy szkłem lub plastikiem i umieszczamy w pobliżu okna. W temperaturze 16 stopni ziarno poczyna kiełkować po 10—12 dniach; po podrośnięciu rozsadzamy rośliny w skrzyneczkach lub doniczkach, gdzie rosną aż do przesadzenia na działkę.

Jest wiele gatunków goździków; na działkę najkorzystniej wybrać dwie odmiany: l'Oeillet perpétuel géant enfant de Nice, w kolorze białym, czerwonym, żółtym, różowym i fioletowym oraz l'Oeillet Chabaud, o kwiatach nieco mniejszych, ale pełniejszych i kwitnących dwa tygodnie dłużej.

Podobnie radzimy sobie z groszkiem pachnącym. Polecamy również dwa gatunki: Pois de senteur à floraison précoce „Spencer”, o wielkich ondulowanych płatkach, żywych i pięknych kolorach oraz drugi gatunek „Zwolak”, miewający na kiści 4, 5, a nawet 6 kwiatów, ale wymaga on miejsca słonecznego, chronionego przed wiatrem. Przed posiewem ziarna groszku wskazane jest zamoczyć na 24 godziny w letniej wodzie, aby zmiękła skórka. Następnie doniczki szerokie 9—10 cm napełniamy warstwą piasku a trzy pozostałe części próchnicą i zalewamy wodą, aby się ziemia ułożyła. Następnego dnia układamy w doniczce po 4—5 ziarenek i przykrywamy miłąką próchnicą. Doniczki można ustawić w miejscu ciemnym, bo ziarno lepiej kiełkuje. Gdy rośliny mają już 2—3 cm długości, zbliżamy doniczki ku oknu i umiarkowanie podlewamy. Temperatura najmniej 10—12 stopni ciepła. Gdy nie grozi zimno, sadzimy groszek na działce, wyjmując nie rozsypane stożki z doniczek. W ten sposób można już mieć kwiaty w maju.

Możemy również uzyskać podobne sadzonki rezedas (resedas) o wonnym zapachu, ale skromnym wyglądem; również sadzonki do szpalarów i klombów, na przykład les scabieuses i les nemophiles. Te ostatnie nadają się do obsadzania brzegów alejki i dają wiele kwiecica.

WASZ OGRÓDNIK

* Gwiazdki * Gwiazdki *

ZESPÓŁ pieśni i tańca z Guesnain zorganizował w tej miejscowości okazałą uroczystość gwiazdkową. Zespół liczy około 60 członków, skupionych w trzech grupach: młodzieżowej starszej, młodzieżowej młodszej i dziecięcej.

Podczas występów w ramach gwiazdkowej imprezy wszystkie trzy grupy „Krakowiaka” zabawiły licznie zebraną publiczność (około 300 osób) swymi tańcami i śpiewem. Interesujące uzupełnienie programu stanowił występ zespołu uczniów miejscowych szkół francuskich, zrzeszonych w towarzystwie gimnastycznym. Kierownikiem tego zespołu jest p. Domagalski.

Na imprezie w Guesnain obecny był zastępca mera p. Mercieu, przedstawiciel Konsulatu Generalnego PRL w Lille p. Michał Papus, przewodniczący komitetu „France-Pologne” departamentu Pas-de-Calais p. René Laly oraz departamentu Nord p. Roger Legrand, przewodniczący Ligue des Flandres p. Henri Guenez i wiele innych osobistości.

Wszystkimi zebranymi złożył życzenia, w imieniu władz polskich oraz naszych Rodaków z Kraju, p. Michał Papus. Następnie przemawiali pp. Legrand i Guenez.

★

W wesołym nastroju obchodziła gwiazdkę Polonia Paryża i okolic na uroczystości zorganizowanej przez Stowarzyszenie „France-Pologne” w sali merostwa Ivry. Przybyłych na uroczystość powitał i życzył im pomyślnego Nowego Roku sekretarz generalny Stowarzyszenia p. Aleksy Krakowiak. Wśród licznych osobistości, które zaszczyliły imprezę swą obecnością, byli: konsul z Paryża p. Marian Wolny oraz wicekonsul p. Witold Nowak.

Publiczność, której zebrało się około 150 osób, gorąco oklaskiwała występy zespołu młodzieżowego z Persan-Beaumont i znanego pieśniarza polskiego oraz kompozytora, p. Jerzego Michotka. Do późnego wieczora trwały tańce, śpiew, muzyka i radość paryskiej Polonii.

★

W Normandii również, zgodnie z tradycją, obchodzone uroczystości polską gwiazdkę.

Dla najmłodszych urządził w Potigny bardzo miłe spotkanie świąteczno-noworoczne kierownik miejscowej szkoły polskiej p. Władysław Ginter. Uczennice i uczniowie tej szkoły wystąpili z recytacjami, z inscenizacjami, z piosenkami, które bardzo podobały się zebranym na imprezie dzieciom. Występy

te przyjęte zostały z uznaniem również i przez konsula PRL w Paryżu p. Mariana Ejmę-Multańskiego oraz mera Potigny p. Brosseau.

W tej samej miejscowości odbyła się staraniem Związku b. Żołnierzy I Polskiej Dywizji Pancerniej, którego prezesem jest p. Stefan Barylak, uroczystość gwiazdkowa byłych kombatanów. Przybyli cni na nią wraz z rodzinami. Obecny był również mer p. Brosseau, p. konsul Ejma-Multański, ks. Zając, ks. Jastrzębski i wiele innych osobistości.



**Z życia
różnych
kolonii**

ODZNACZENIA MEDALAMI PRACY

LENS. Srebrnym medalem pracy za „kształcenie techniczne” został ostatnio odznaczony p. Jan Kaczmarek, szef atelier technicznego, a brązowym — p. Władysław Rączy — wykładowca na Wydziale Nauk Ścisłych w Lille.

BRUAY-en-ARTOIS. Liczni pracownicy zarządu kopalń okręgu Bruay zostali na koniec roku odznaczeni medalami pracy. I tak m. in. złoty medal otrzymał p. Henryk Konieczny za usługi ratownicze z narażeniem własnego życia; medal „vermeil” otrzymali: p. Wincenty Adameczek — szef ekipy elektrotechnicznej, p. Antoni Gruszka, p. Mieczysław Kryl, p. Marian Kulczyński, p. Stefan Ostach, p. Leon Pływaczek.

ROZMAITE KONKURSY

BRUAY-en-ARTOIS. W dużej sali zarządu miejskiego odbywały się przez dwa tygodnie w ramach juni-codé próby znajomości przepisów ruchu drogowego przy użyciu małych samochodzików. Dyplomy otrzymali — ze szkoły Basly: Daniela Dołęga, Monika Szyja, Monika Matuszak, Teresa Kałużna, Françoise Nawrocka, Alfreda Szymkowiak, Lydia Walenski, Arlette Szczęsny, Nadine Mikolajczak, Patrycja Rzeźnik Marie-Christine Barowiak, Daniel Horodyski, Bruno Spodobalski, Michał Spodobalski, Henryk Szymkowiak, Patrik Gwizdziel; ze szkoły Centre: Sylvie Kocinska, Sylvie Kulczyńska; ze szkoły Pasteur: Teresa Gorak, Marianna Jabłńska, Christiane Ginalska, Teresa Trybus; ze szkoły administracji: Evelyne Rybak, Bernardette Małeczka, Brigitte Kowalska, Katarzyna Mieszaniec, Janina Łuczak, Annie Matuszewska, Annick Gwizdziel; ze szkoły Felix Faure: Béatrice Czernasta.

DOUAI. W zorganizowanym konkursie filatelistycznym pierwszą nagrodę zdobył p. Jean-Luc Kaszkawiak; drugą nagrodę otrzymał p. Myriam Mrowiński, a trzecią — p. Mariola Smolec.

BULLY-les-MINES. W konkursie eliminacyjnym „Fée du Logis” wyróżnienia otrzymały kandydatki na gospodynie: p. Liliane Kempa z Pecquencourt i p. Nadine Kaczmarek z CET Liévin. W konkursie finałowym departamentu Pas-de-Calais p. Liliane Kempa zajęła piątą miejscę.

„MISS COUTURE”

A. HUDYKA

Magazyn: 55, rue de Bouvines LILLE (Fives)

Siedziba: 199 rue de Paris LILLE,

Telefon: 53-10-03

**Konfekcja męska,
damska i dziecięca**

■ Suknie ■ spódnice

■ swetry ■ bluzki

■ popeliny ■ tergal

PIERZE ▲ WSYPY ▲ POSZWY ▲ DAMASY

Ceny niskie

Na żądanie wysyłamy próbki

BLANZY. W konkursie belota Blanzy — Bois du Verne w kategorii complémentaire p. Przybylski zajął drugie miejsce.

MOYEUVE-GRANDE. Mistrzem miejscowego klubu bilardzistów został ostatnio p. Alfred Łada, który uzyskał średnio 4,63 pkt. oraz w serii 43 pkt. P. Łada równocześnie zajął drugie miejsce w spotkaniu finałowym o mistrzostwo Francji w kat. C.

Z ŻYCIA RÓŻNYCH TOWARZYSTW

MONTCHANIN. Do zarządu stowarzyszenia „La Comète” został wybrany p. Mi-

chał Maliszewski, jako sekretarz i p. Bernard Marsura, jako zastępca.

DOURGES. Miejscowi zwolennicy bilardu obradowali ostatnio nad sprawozdaniami z rocznej działalności oraz planem pracy na rok 1969. Prezesem „Bilard-Club dourgeois” został wybrany p. Jan Chojnacki, wiceprezesem — p. Dryjański, sekretarzem — p. Francuzik, zastępcą sekretarza — p. Beptra, skarbnikiem — p. Pogoda, a zastępcą skarbnika p. Łatuszewski. Równocześnie postanowiono utworzyć kilka ekip, które wezmą udział w zawodach mistrzowskich ligi flandryjskiej.

MEURCHIN. Do zarządu miejscowego klubu „Leo La-

grange” został wybrany przez walne zebranie p. Christian Jędrzejewski z obowiązkiem opiekowania się sekcją fotograficzną.

URODZILI SIĘ NA NOWY ROK

LENS. Tradycyjnym zwyczajem zostały specjalnie uczczone urodziny dzieci na przełomie roku. I tak tym razem szczęśliwcami były dzieci: Filip Tomczak, syn Krystyny i Franciszka Tomczaka z Bois à Rouvroy i Eric Głowacki, syn Odette i Daniela Głowackiego.

UCZCZENIE SPORTOWCA

MARLES-les-MINES. W sali miejskiej odbyło się ostatnio uroczyste zebranie miejscowych sportowców dla uczczenia zasług p. Józefa Skrobackiego, który od 10 lat z dużym oddaniem opiekuje się miejscową sekcją piłki nożnej. Przyjęcie wydał tutejszy zarząd miejski, którego przedstawiciele w przemówieniach podkreślili osobisty wkład jubilata w rozwój miejscowego klubu COS.

KĄCİK

HODOWCY GOŁĘBI

BILLY-MONTIGNY. P. Władysław Sadalski otrzymał puchar dla amatorów za piękne okazy wystawione na wystawie stowarzyszenia „L'Aile de Fer”.

MONTIGNY-en-OSTREVENT. Mistrzem całorocznych konkursów okręgu Douai został p. Szymon Wasiński. Trzecie miejsce zajął p. Stefan Baszyński z Guesnain, a 7 p. Furmański z Guesnain. Wyróżnienie otrzymał również p. Dominikowski z Flers-en-Escrebieux.

NASZA KRONIKA RODZINNA

NIECH ZDROWO ROSNĄ!

Rodziny naszych Rodaków powiększyły się. Ostatnio urodzili się:

GUESNAIN: Franciszek Wilczyński, Jean-François Maślak, Cathy Chodorowski, Waleria Głuchowska, Fabrice Jurasik, Thierry Krawczyk, Sylvie Krupka, Weronika Nawrot, Natalia Nikel, Fryderyk Owczarek, Corinne Robaszyńska, Alina Stachera, Stefan Wiatr, Eric Chodorowski. BOUVIGNY-BOYEFFLES: Laurence Mulkowski. ST. ETIENNE: Katarzyna Szczurek, Agnes-Marcelle Imbierowicz, Laurent Słotała, Natalia Nowaczyk, Eric Wardeński. DOUAI: Krzysztof Horoszko, Cathy Puchyra, Yvon Rosiński, Natalia Blednicka, David Fleszar, David Dembski, David Krajewski, Natalia Chojnacka, Marc Dembski, Karolina Zambrowska, Eric Kula. MONTIGNY-les-METZ: Sandrine Majchrzycka. ST. MARIE-aux-CHENES: Fryderyk Kowalczyk. ECUISSES: Laurent Kowal. ANGRES: Christine Sikorska. LIÉVIN: Jean-Philippe Kajandaszyk. WINGLES: Michał Piotrowski. AUCHEL: Isabelle Piasecka, Fryderyk Baczkowski. BRUAY-en-ARTOIS: Chrystelle Jakusz. HAILLICOURT: Marie-Christine Bromboszcz. PONT-à-VENDIN: Dominique Pilarzki. MERICOURT: Nadège Klemieńska, Daniel Dutkiewicz, Daniel Kubaszkiwicz. BULLY-les-MINES: Nicolas Paluszkiwicz, Eric Pawlak, Anna Stempel. BEUVRY: Sabine Gruchot. METZ: Herve-Stephane Jankowiak, Fabrice Chilkowicz. SAINS-en-GOHELLE: Krzysztof Książkiewicz, Krzysztof Kalinowski i Sabina Ławniczak. OSTRICOURT: Christian Rupek. MAZINGARBE: Xavier Edwarczyk.

Szczęśliwym Rodzicom życzymy dużo pociechy z najmłodszych.

STO LAT DLA NOWOŻEŃCÓW!

Ku radości Rodzin i Przyjaciół ostatnio zawarli małżeństwa:

AUBERCHICOURT: Marie-Thérèse Joly i Raymond Musielak, LOOS-en-GOHELLE: Jacqueline-Marie Molin i Raymond Lisiecki, Nicole Maćkowiak i Alexandre Boulanger. HERSIN-COUPIGNY: Yvonne Plus i Bernard Grenda, Lysiane Delplanque i Gérard Nowak, Mauricette Vermasse i Daniel Ligocki. DECHY: Geneviève Papierot i Jan Balcerek, Danielle Waterlot i Ryszard Janecki, Paulette Mercier i Felix Urbaniak. WAZIERS: Blanche Nowak i Leon Antkowiak, Fernande Chaussoy i Joël Dembski, Josiane Jaworska

i Claude Alvarez, Jeanine Sery i Claude Banachowski, Christiane Duez i Michał Chmielina. BARLIN: Christiane Grzych i Jean-Pierre Vichery. ELAU-dit-LEAUWETTE: Chantal Alforchin i Michał Wrasecki, Chantal Fosse i Stanisław Mielnik. LIÉVIN: Evelyne Kaźmierczak i Roger Lemette. SIN-le-NABLE: Jeannine Maciejewska i Roger Chantry. MAZINGARBE: Lucie Zandek i Gérard Labalette. CALONNE-RICOUART: Liliane Kowalska i Bernard Picavet, Teresa Dudziak i Roger Butny. MARLES-les-MINES: Elżbieta Kołodziejska i Christian Delaire.

Nowożeńcom życzymy pomyślności i tradycyjnych stu lat!

Z ŻAŁOBNEJ KARTY

Z żalem donosimy, że ostatnio odeszli od nas:

WAZIERS: Józef Bartnik, lat 72; Wanda Brenienc, lat 57; Piotr Barański, lat 87. HOUDAIN: Stanisław Witczak, lat 68. AVION: Bolesław Dyżma. ROUVROY-sous-LENS: Anna Zasielczna z domu Bzdęga. LOOS-en-GOHELLE: Kazimierz Nowak. ROCHE-le-MOLIERE: Piotr Knysz. LENS: Stanisława Famulicka z domu Kaźmierczak; Józef Nowacki. SIN-le-NOBLE: Adam Wali-górski, lat 60. CALONNE-RICOUART: Max Julkowski, lat 62 i Franciszek Waclawek, lat 91. BRUAY-en-ARTOIS: Wanda-Alojza Drożdżńska z domu Krupa. DOUAI: Yvonne Sierocka z domu Dupuis, lat 34 i Christian Sulerzycki, lat 91. METZ: Franciszek Szymbara, lat 60 (Manderen); Natalia Sobczak z domu Krogulska, lat 68; Władysław Batkiewicz, lat 66. THIONVILLE: Adela Naplepa z domu Matuszewska, lat 86. SALLAUMINES: Julia Ziemska z domu Kogut, lat 63. ROUBAIX: Pierre Lir, lat 60. BARLIN: Roman Cebulski, lat 31.

Rodzynom Zmarłych składamy serdeczne wyrazy współczucia.

Rozrywki umysłowe

HENRYK	1	2	3	4	5	6	7	8	9
SIENKIE	10	11	12	13	14	15	16	17	18
WICZ•OG	19	20	21	22	23	24	25	26	27
NIEMI MIE	28	29	30	31	32	33	34	35	
CZEM•PO	36	37	38	39	40	41	42	43	
TOP•PAN	44	45	46	47	48	49	50	51	52
WOKODY	53	54	55	56	57	58	59		
JOWSKI	60	61	62	63	64	65	66	67	
•KRZYŻA	68	69	70	71	72	73	74	75	76
CY•QUO	77	78	79	80	81	82	83	84	
VADIS	85	86	87	88	89	90	91	92	93

SZYFROGRAM

Prosimy odgadnąć 20 wyrazów w kluczu pomocniczym o podanych niżej znaczeniach i ich litery podstawić na miejsce liczb zamieszczonych obok. Następnie do krótkich rysunku oznaczonych liczbami od 1 do 93 należy wpisać z klucza pomocniczego litery odpowiadające właściwym liczbom. Wpisane w ten sposób litery, czytane poziomymi wierszami dadzą wyjątek z „Potopu” H. Sienkiewicza.

KLUCZ POMOCNICZY:

16 — 6 — 3 — 37 = wielkie zwierzę z trąbą,
 19 — 1 — 15 — 22 — 34 = zimowy opad atmosferyczny,
 58 — 80 — 21 — 7 — 50 — 51 = lubi bardzo długo spać,
 4 — 9 — 75 — 62 — 35 = kości kręgosłupa,
 14 — 12 — 5 = podatek za towary przewożone przez granicę,
 20 — 86 — 43 = grząski osad na dnie wód, szlam,
 26 — 25 — 29 — 30 — 76 = ułatwia wlewanie płynu do butelki,
 23 — 39 — 27 — 31 — 2 = rura odprowadzająca wodę z dachu,
 38 — 17 — 40 — 41 — 55 — 8 = wierzchołek góry,
 10 — 56 — 32 — 77 — 79 = jeżą się na głowie ze strachu,
 33 — 85 — 11 — 67 = materiał używany do palenia w piecu,
 44 — 13 — 48 — 18 = rzeczywistość, czuwanie, nie sen,
 54 — 49 — 47 — 87 — 46 — 28 = nie czyni jej jedna jaskółka,

68 — 57 — 36 — 70 — 59 — 60 — 61 = ostre kolce róży,
 65 — 66 — 91 — 74 — 83 — 81 = aromatyczna, słodka wódka,
 63 — 53 — 69 — 24 — 42 = brama podwórzowa, wierzaje,
 90 — 71 — 72 — 93 = wyspa roślinności z wodą wśród pustyni,
 78 — 45 — 82 = wada wzroku, krzywe spojrzenie,
 52 — 88 — 92 — 64 = czynny wulkan na Sycylii,
 84 — 89 — 73 = wezwanie, wołanie, przyzywanie.

Rozwiązania prosimy nadsyłać pod adresem redakcji w ciągu dwóch tygodni od daty ukazania się numeru z dopiskiem na kopercie „Rozrywki umysłowe”. Wśród Czytelników, którzy nadesła bezbłędne rozwiązania, zostaną rozlosowane NAGRODY KSIĄZKOWE.

ROZWIĄZANIE KRZYŻÓWKI „POLSKIE MIASTA” Z NR 2

POZIOMO: 1) Kraków, 6) tłuszcz, 7) gwardia, 8) podlec, 10) afront, 14) gruszki, 17) poletko, 18) miarka, 19) Skarga.

PIONOWO: 2) reguła, 3) kadziło, 4) wiązka, 5) potęga, 8) pogrom, 9) drużba, 11) figlik, 12) trwoga, 13) lipa, 15) zysk, 16) ster.

ROZWIĄZANIE LOGOGRYFU Z PRZYSŁOWIEM Z NR 2

SŁUŻBA NIE DRUŻBA.
 ZNACZENIE WYRAZÓW: 1) dzisiaj, 2) dopłata, 3) deputat, 4) dróżnik, 5) dryblas, 6) podanie, 7) pewność, 8) pepitka, 9) przerwa, 10) produkt, 11) gwarant, 12) gatunek, 13) Grażyna, 14) głębina, 15) grzanka.

MŁODZIEŻ Z POLSKI W WIELKIEJ BRYTANII

Na zaproszenie Zrzeszenia Polonii Brytyjskiej bawiła jeńnią po raz pierwszy z Kraju młodzież studencka, zrzeszona w ZBoWiD. Wycieczka przyjęta została w Nottingham przez panią Lord Mayor — Johan Case. Przed wyjazdem do Londynu odbyło się w Nottingham spotkanie z miejscowymi Polakami. W Londynie wycieczka zwiedziła wszystkie najważniejsze osobliwości tego miasta. Następnie w Fawley-Court młodzież Polacy odwiedzili polskie gimnazjum O. O. Marianów. Zwiedzano również Instytut im. Gen. Sikorskiego. Odbyło się podwieczorek dyskusyjny na tematy polskie z inicjatywą Zrzeszenia Polonii Brytyjskiej. Na zakończenie odbyła się kolacja pożegnalna.

B. DOWOJNA-BIENAIMÉ

TLUMACZKA PRZYSIĘGŁA PRZY WYŻSZYCH SĄDACH W PARYŻU

Tłumaczenia urzędowe ważne w całej Francji

23, quai de la Tournelle
PARIS (5^e)

TELEFON: ODEon 41-17
 METRO: PONT-MARIE

RADIOODBIORNIKI TELEWIZORY

◀ Lodówki, maszyny do prania

I inne artykuły gospodarstwa domowego

LENG — PICARD ET C^{ie}

16, Place de la Liberté, 423, rue de Lannoy

Telefony: 73.39.43, 73.29.47 ROUBAIX (Nord)

OBCHODY 50-LECIA W SZWECJI I NORWEGII

W Malmoe odbyła się uroczysta akademicka z okazji 50-lecia odzyskania niepodległości przez Polskę. Organizatorem było stowarzyszenie kulturalne „Polonia”. Uroczystość odbyła się w pięknie udekorowanej sali miejscowego Domu Ludowego, udostępnionej „Polonii” na tę okoliczność przez władze miejskie.

Zebrani, wśród których obecny był burmistrz Malmoe J. Bjoerling, przedstawiciele szwedzkich organizacji społecznych i związków zawodo-

wych oraz delegacje Polonii z innych miast, wysłuchali odczytu doc. E. Spiechowicza, przebywającego w Szwecji na stypendium naukowym oraz przemówień konsula PRL w Malmoe — L. Lenarczyka i członka zarządu Towarzystwa Szwecja — Polska — E. Anderssona. Po akademii otwarto wystawę pt. „Polska w okresie II wojny światowej”. Obecni wysłuchali również koncertu w wykonaniu polskiego skrzypka, Z. Schmidtchena i obejrżeli film „Westerplatte”.

TV DU 2 AU 8 FEVRIER

PREMIERE CHAINE.

TELE-MIDI — 13.30, TELE-SOIR — 20.00, TELE-NUIT — à la fin du programme.
 ACTUALITES REGIONALES — 19.20 (sauf le dimanche).
 MIDI-MAGAZINE — 12.30 (sauf le dimanche).
 CONTACT — 18.21 (sauf samedi et dimanche).
 TOUT TUF — 18.30 (sauf le dimanche).
 EMISSION POUR LA JEUNESSE — 19.15 (sauf samedi et dimanche).
 „L'HOMME DE „PICARDIE” — 19.40 (sauf samedi et dimanche).

DIMANCHE 2 FEVRIER.

9.10. Télé-Matin.
 12.02. La séquence du spectateur.
 12.30. Discorama.
 13.15. „Max la Menace”.
 13.45. Cavalier seul.
 14.30. Télé-Dimanche.
 17.15. „Le Trou normand” — un film de Jean Bover.
 18.40. Ouvrir les yeux — une émission d'Eric Ollivier.
 19.30. Les Globe-Trotters.
 20.55. „La Taverne de l'Irlandais” — un film de John Ford (John Wayne, Cesar Romero, Dorothy Lamour).
 22.45. Vacations — une émission du Service de la Recherche.

LUNDI 3 FEVRIER.

20.30. „Le Fugitif”.
 21.15. Face à la presse.
 22.00. „Les Vesicules de la fortune” — une émission du Service de la Recherche, réal. M. Dugowson (dans la série „Comique”).
 22.20. Grand Angle.

MARDI 4 FEVRIER.

18.30. Je voudrais savoir.
 18.45. Les Quatre Saisons.
 20.30. Le Rendez-Vous des Nations: ce soir une émission de la TV Tchécoslovaque: „La Douce” d'après une nouvelle de Dostojevsky.
 21.45. Emission médicale d'Igor Barrère.

MERCREDI 5 FEVRIER.

18.45. L'Amour de l'art.
 20.30. La piste aux étoiles.
 21.30. Un quart d'heure avec...
 21.45. Journal de voyage en Pologne — II: Chronique d'une ville qu'on voulait assassiner (Varsovie). Une émission de Jean-Marie Drot.
 22.40. Eurovision: Championnats d'Europe de Patinage Artistique (couples, patinage libre) — transmis de Garmisch-Partenkirchen (Allemagne), Commentaire: Léon Zitroné.

JEUDI 6 FEVRIER.

15.20. Emissions pour les jeunes.
 18.45. L'actualité littéraire.
 20.30. Panorama.
 21.30. „Mannix”.
 22.15. Championnats d'Europe de Patinage Artistique (patinage libre messieurs) de Garmisch-Partenkirchen.

VENDREDI 7 FEVRIER.

18.45. Vivre chez soi.
 20.30. Variétés: CHN d'oeil.
 21.15. Forum Jeunesse.
 22.30. Concert par L'Orchestre Symphonique de la Radiodiffusion danoise.

SAMEDI 8 FEVRIER.

16.00. Samedi et compagnie — une émission d'Albert Raisner.
 17.40. Le Petit Conservatoire de la chanson.
 18.45. Les trois coups.
 19.40. Accordéon-Variétés.
 20.30. „Tom Sawyer” — feuilleton nr 2.
 21.00. Chansons Champions — une émission de Guy Lux.
 22.00. Les coulisses d'exploit.
 23.00. Jazz.

DEUXIEME CHAINE — COULEUR.

(C) — couleur, (CN) — couleur et noir et blanc, émission sans aucune mention sont exclusivement en noir et blanc.
 TELE-SOIR-COULEUR (C) — 19.40.
 TELE-SPORT — 19.55.

DIMANCHE 2 FEVRIER.

14.30. (C) L'invité du dimanche.
 18.55. (C) Reportage sportif — Championnat du Monde de Patinage de Vitesse, transmis depuis Grenoble.
 20.00. (C) Annie, agent très special, nr 2.
 20.55. (C) „Albert Herring” de Benjamin Britten, mise en scène Louis Erlo.
 22.55. (C) Une fois n'est pas coutume avec Claude Nougaro.

LUNDI 3 FEVRIER.

20.00. (C) Monsieur Cinéma.
 20.30. Pour le cinéma.
 21.15. „Thomas l'Imposteur” — un film de Georges Franju.
 22.45. (C) On en parle...

MARDI 4 FEVRIER.

20.00. (C) L'Eventail de Seville.
 20.30. (C) Bonnard.
 21.00. Au coeur de la musique.
 22.30. Concert.

MERCREDI 5 FEVRIER.

20.00. (C) Francis au Paradis perdu.
 20.30. (CN) Les desseirs de l'écran
 „Horizons sans fin” — un film de Jean Dréville.

JEUDI 6 FEVRIER.

20.00. (C) Le mot le plus long.
 20.30. (C) Variétés: Si ça vous chante — une émission de Guy Lux.
 22.00. „Les trois lumières” — un film de Fritz Lang.
 23.00. (C) On en parle...

VENDREDI 7 FEVRIER.

20.00. Cinéma-Critique.
 20.30. (C) „Appelez-moi Rose” — une oeuvre inédite de Youri, réal. Youri.
 21.40. (C) Championnat d'Europe de Patinage Artistique danse, patinage libre) transmis depuis Garmisch-Partenkirchen.
 22.20. (C) Gala du M.I.D.E.M. (3e partie).
 23.10. (C) On en parle...

SAMEDI 8 FEVRIER.

20.00. (C) La regle de cinq.
 20.30. (C) Réalités aux pays de légende.
 21.00. (C) „Tout pour le mieux” de Luigi Pirandello, réal. P. Dux.
 22.35. (C) Championnat d'Europe de Patinage Artistique (figures libres dames) transmis depuis Garmisch-Partenkirchen.

OSTATNI FLISAK



Jedyny pomnik flisaka istnieje w Toruniu, gdzie zatrzymywali się przez wieki wodniacy, spławiający wodami Wisły do Gdańska — zboże i inne towary

TAKIE to były zwyczaje. Flisacy spławiający zboże lub inne towary Wisłą do Gdańska obowiązkowo zatrzymywali się w Toruniu. Czasem na dzień i noc, czasem tylko na noc, a nieraz i na dwa dni. Każdy z nich, nawet najbiedniejszy odwiedzał wtedy gospodę „Pod Turkiem”. Nazwa ta wzięła się od drewnianej figury Turka umieszczonej na kamienicy, w której mieściła się gospoda. Kamienicę zbudowano w 1578 r. Gospodę otwarto wkrótce po jej wybudowaniu. Kamienica istnieje do dziś, ale gospodę zlikwidowano, chociaż przetrwała kilka wieków.

Flisacy wytworzyli w ciągu wieków swoje tradycje, obyczaje, zawodowe słownictwo itp. Już w 1595 roku Sebastian Fabian Klonowicz z Su-

limierzyc, burmistrz Lublina i poeta, dał w dziele „Flis to jest spuszczenie Wisły y innymi rzekami do niej przypadającymi” — opis flisaczego życia i trudu. Jest w nim mowa o zasadach „bezpiecznego żeglowania i korzystnego uprawiania handlu na Wiśle”, a także słownik gwary flisackiej, opis frycówki, jaka spotykała nowicjuszy w tym zawodzie, podania i bajki, m. in. o sporze Wisły z Narwią oraz o kłopotach, na które flis natrafiał w handlu z kupcami.

Tradycje flisaków z czasów Klonowicza przetrwały do końca XIX w., a nawet i dłużej. Jedną z nich była właśnie wizyta w gospodzie „Pod Turkiem” po przypłynięciu do Torunia. W gospodzie znajdowała się olbrzymia beczka o pojemności 1200 lit-

rów, na której okraciem siedział swawolny Bachus — bożek pijaków, przepasany wieńcem z winnej lato-rośli, w jednej ręce trzymający kielich, a w drugiej — butelkę. Rzeźba Bachusa niewiele miała wspólnego w swej wymowie z boską godnością i bardziej przypominała masywną dziewczynę, toteż flisacy nadali jej nazwę „Gruba Maryna”. I tak się przyjęło. Pod taką też nazwą figuruje dzisiaj w toruńskim muzeum.

Otóż z „Grubą Maryną” związany był następujący zwyczaj: każdy nowicjusz, czyli — jak mówili starzy flisacy — „fryc”, pierwszy raz przemierzający długość Wisły, jeżeli chciał się wyzwolić na prawdziwego flisaka, musiał ze starszymi kolegami odwiedzić gospodę

„Pod Turkiem”, tu nisko się pokłonić „Grubej Marynie” i wobec wszystkich zebranych pocałować ją w wielki palec prawej stopy. O tym, że całowanie nie było tylko jakimś tam delikatnym muśnięciem świadczy dobitnie fakt, że dobrze zachowana rzeźba „Grubej Maryny” ma prawą stopę zupełnie wytartą. Pocałunek musiał wyrazić miłość i przywiązanie do trudnego zawodu flisaka. I dopiero wtedy miał on prawo zaśpiewać pełną piersią: „Flisakowa żona siedzi sobie doma — a flisaczek, nieboraczek, robi wiosłem, jak robaczek, płynie do Torunia”.

Czasy się zmieniły. Flisacy niemal zupełnie zniknęli z wód Wisły. I zniknęli z Torunia. Zastąpili ich marynarze słodkich wód. Bliżsi może charakterem flisaczego trudu są im kajakarze i żeglarze, ale ci podróżują dla sportu i turystyki, a więc dla przyjemności, podczas gdy flisacy pływali dla chleba. Toruń jednak nie zapomniał o flisakach. Ich pamięć uczcił piękną rzeźbą flisaka grającego na skrzypkach, ustawioną na środku baseniku jednego z miejskich skwerów. Torunianie mówią, że jeszcze rok, jeszcze miesiąc lub dwa, a grający na skrzypkach młody flisak będzie ostatnim przedstawicielem tego zawodu.



„Turek” (u góry), który zdobył gospodę flisacką na Rynku Staromiejskim, znalazł obecnie swoje miejsce w Muzeum Pomorskim, gdzie też znajduje się „Gruba Maryna”

Fragment Rynku Staromiejskiego z kamienicą popularnie zwaną „Pod Turkiem” (w środku), w której mieściła się gospoda flisacka gromadnie odwiedzana przez płynących Wisłą do Gdańska. Zdjęcie dolne: rozkraczony Bachus



Jednymi z ostatnich flisaków są w tej chwili w Polsce flisacy na Dunajcu, którzy rokrocznie latem obsługują słynne spływy turystów przez przełom tej rzeki z Czorsztyna do Krościenka. Jest to jednak inny typ flisactwa niż dawne spływy Wisłą. Flisacy na Dunajcu zachowali regionalne stroje góralskie, znają mnóstwo opowiadań i legend o Dunajcu i Pieninach, mają też własną organizację pozostającą pod egidą PTTK

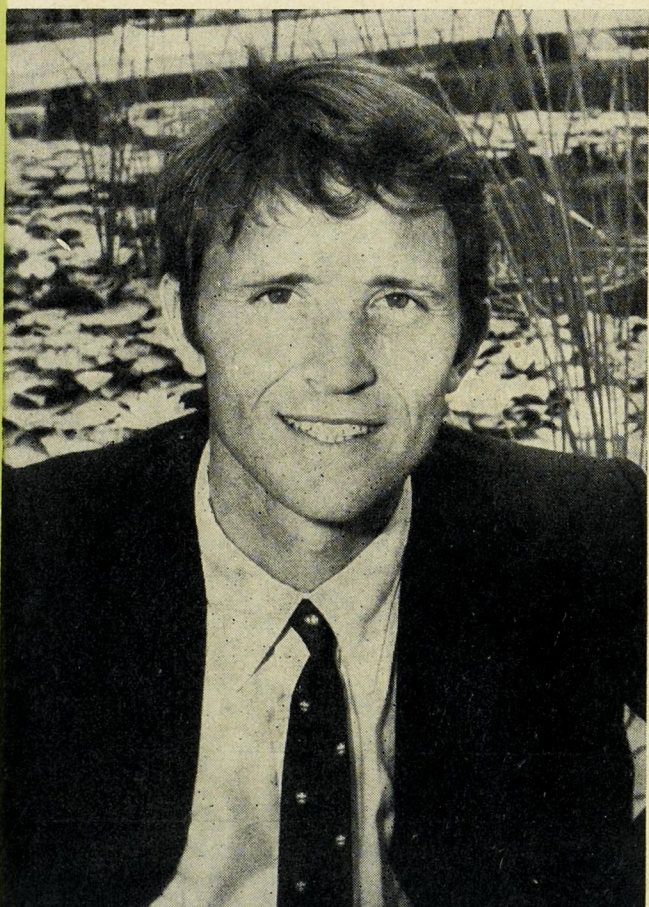


NOWE

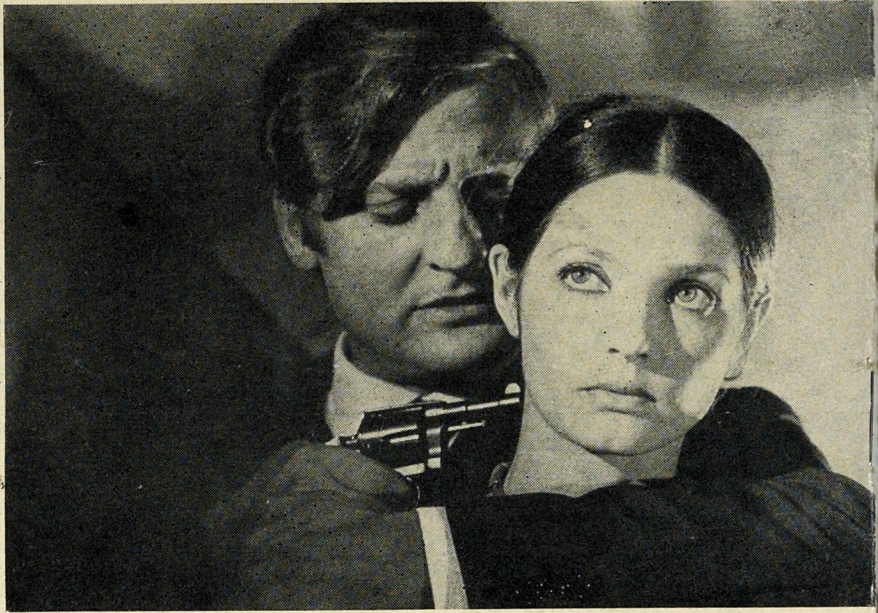
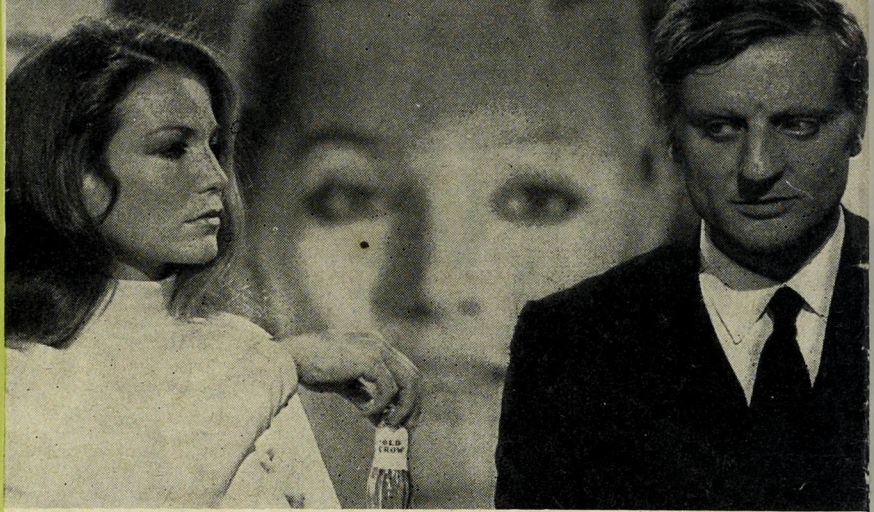
FILMY

NA EKSPANACH

„BYE BYE BARBARA”



Principaux interprètes: Eva SWANN PHILIPPE AVRON, BRUNO CREMER, MICHEL DUCHAUSSOY, ALEXANDRA STEWART.



MICHEL DEVILLE (le réalisateur) préfère ne pas publier trop de détails du scénario de „Bye Bye Barbara”. Il résume l'histoire de son film dans quelques lignes suivantes: „Journaliste sportif Jérôme (Philippe Avron) est bouleversé par une mystérieuse jeune fille Paula (Eva Swann) et plus encore par sa tragique disparition. Aidé par son ami Dimitri (Michel Duchaussoy) il mène l'enquête. S'oppose à lui un riche personnage Hugo (Bruno Crémer) mari d'Eve (Alexandra Stewart). BYE BYE BARBARA diffère de mes films précédents dans la mesure où ces derniers étaient basés sur le mensonge. Cette fois mes personnages iront jusqu'au bout de leurs passions. Ce film est un suspense dramatique et romantique situé de nos jours... mais permettez-moi, puisqu'il s'agit de suspense, de ne pas vous en dire plus.”

— Pour en savoir davantage nous avons interrogé Michel Duchaussoy, pensionnaire de la Comédie Française, à qui le cinéma fait l'appel de plus en plus: Michel Duchaussoy, sans trahir le suspense, pouvez-vous nous donner quelques précisions sur l'histoire proprement dite de BYE BYE BARBARA?

„J'ai entendu Michel Deville vous déclarer qu'il s'agit d'un suspense dramatique et romantique. J'ajouterai pour ma part le terme poétique. Le fait que Michel Deville ait confié le rôle principal à Philippe Avron caractérise très bien le film. Avron est, si je puis dire, le porteur de toute cette poésie. Philippe Avron et moi-même sommes deux journalistes. Je travaille aux „faits divers” et lui à la rubrique sportive. Nous sommes deux amis inséparables, très intimes. Cette amitié qui nous lie peut paraître particulière, surtout de ma part, car si l'on voit Jérôme (Philippe Avron) entouré sans arrêt de ravissantes femmes, je ne suis, quant à moi, accompagné que de mon chien.”

— Pouvez-vous nous préciser davantage l'histoire?

„Au cours d'un reportage que Jérôme effectue en province, il fait la connaissance d'une ravissante créature, aussi belle qu'étrange prénommée Paula. Deux jours plus tard, de retour à Paris, il apprend par la rubrique des faits divers que Paula est morte carbonisée dans un accident de voiture. Il cherche à en savoir plus long et s'aperçoit un beau jour que la victime n'est pas Paula, mais son sosie. Jérôme me demande de l'aider dans son enquête mais nous nous heurtons bien vite à un personnage très haut placé (Bruno Crémer).”

— Michel Deville nous disait que ce film était différent de ses précédents...

„C'est certain, mais il s'agit tout de même de Deville. C'est un style qui se personnalise de plus en plus. Sur le plan technique par exemple, j'ai été frappé par le fait que seuls les deux personnages principaux (Jérôme et Paula) sont vraiment en couleurs. Tout le reste, y compris les décors, est gris blanc ou noir. Anecdote amusante: tous les techniciens du film, involontairement, après huit jours de tournage se rendaient sur le lieu de tournage habillés en gris, blanc ou noir.”

— Que pensez-vous de Michel Deville directeur d'acteurs?

— J'ai une confiance absolue en lui. Sa fermeté réside dans la gentillesse. D'une voix presque timide il nous demande et obtient ce qu'il veut et ce qu'il a décidé.”